

Przegląd Polski

TYGODNIOWY DODATEK KULTURALNY **nowego dziennika**

22 MAJA 2009

Opowiadam za pomocą kamery i światła

Z Januszem Kamińskim, wybitnym operatorem filmowym w Hollywood, zdobywcą dwóch Oscarów, rozmawia Andrzej Maleski

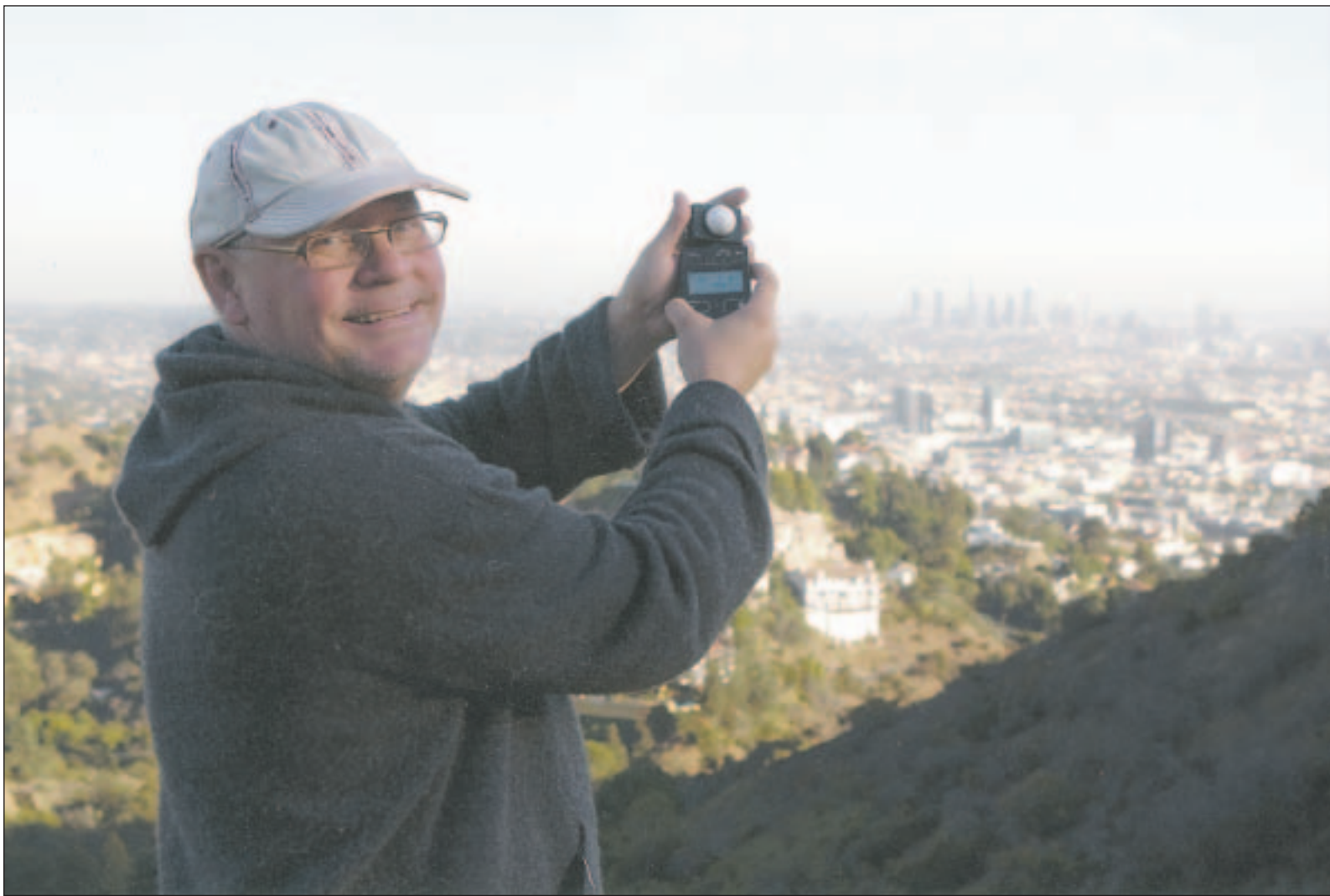
W tym roku podczas uroczystości wręczenia Oscarów był Pan pierwszym operatorem w historii Amerykańskiej Akademii Filmowej, który wręczał tę nagrodę. To było ogromne wyróżnienie i wyraz uznania dla Pańskiej pracy. Jak się Pan czuł w tej roli?

Byłem niezwykle zdenerwowany. Nie jestem przyzwyczajony do publicznych występów. Kiedy już stanąłem na scenie, która jest bardzo blisko widowni, zorientowałem się, że przecież znam wszystkich siedzących przede mną. Wtedy uświadomiłem sobie, że jestem częścią tej hollywoodzkiej międzynarodowej rodziny. Dalej już poszło gładko. Dwie godziny wcześniej leżałem w łóżku i myślałem, że umrę ze strachu.

Podczas tej uroczystości pokazano zabawny krótki film Judda Apatowa, w którym zagrał Pan siebie. 31 lipca wejdzie na ekrany film "Funny People" w jego reżyserii z Adamem Sandlerem w głównej roli. Dlaczego zdecydował się Pan na kręcenie zdjęć do komedii?

Ten film jest komedią i dramatem jednocześnie. Judd Apatow, który jest reżyserem komediowym (*40 Year Old Virgin*), zaprosił mnie do współpracy, zapewniając, że bardzo mu zależy na jakości wizualnej tego filmu. Opowieść mi się spodobała. Jest to historia komika, który dowiaduje się, że jest chory na nieuleczalną chorobę i nagle znajduje się na granicy życia i śmierci. Oczywiście walczy o przetrwanie. W trakcie filmu zostaje uzdrowiony i dalej już jest na wesoło. Chciałem pracować z reżyserem, który "czuje" widza i jest przez niego doceniany. Podoba mi się również jego język – ostry i często wulgarny. Wielu widzów może się z nim identyfikować, choć niewielu chce się do tego przyznać. Ludzie po prostu wstydzą się własnych instynktów. Judd pokazuje prowokujące sytuacje, wszyscy patrzą na ekran, są zażenowani, ale po cichu myślą: "No tak, ja też tak myślę i ja też to lubię".

Co Pana interesuje w nowych scenariuszach?



Fot. z archiwum Andrzeja Maleskiego

Historie ludzkie, które wzbudzają emocje, a jednocześnie prowokują widza do refleksji nad własnym życiem. Oczywiście, zastanawiając się nad wyborem tego czy innego scenariusza, biorę również pod uwagę zespół ludzi: producenta, reżysera i aktorów, z którymi mam pracować. Jednym z nieodłącznych elementów mojej pracy jest ekipa techniczna, z którą pracuję. Są to wysokiej klasy fachowcy; całkowicie im ufam i lubię z nimi przebywać. Są wśród nich moi koledzy Polacy, których znam od lat. Staram się robić interesujące filmy, ale życie często nie pozwala mi na realizację pewnych projektów. Wkrótce wyjeżdżam do Filadelfii, gdzie będę kręcił film z Jimmem Brookssem (*The Simpsons*, *Terms of Endear-*

ment, *Broadcast News*). To dla mnie duże przedsięwzięcie. Muszę spakować rodzinę i przenieść się na pięć miesięcy na Wschodnie Wybrzeże.

W jaki sposób przygotowuje się Pan do nowego filmu?

Długo przed rozpoczęciem zdjęć zastanawiam się nad tym, jaki to będzie film. Na przykład ten nowy jest romantyczną opowieścią o dwójce ludzi, którzy jako para przechodzą kryzys. Miłość ich zbliża, ale wątek romantyczny zostaje zachwiany przez realia życia. Ten film powinien wyglądać realistycznie, ale nadal musi być romantyczny. Oczywiście wyjeżdżam do Filadelfii, gdzie będę kręcił film z Jimmem Brookssem (ma być romantyczną komedią.

Czy przystępował Pan kiedyś do realizacji filmu nie mając do niego "klucza"?

Najciekawsze są właśnie takie filmy, na których długo zastanawiam się, jak je zrobić.

Tak zapewne było z "Motylem i skafandrem"...

Wbrew pozorom ten film nie był dla mnie trudny. Jego scenariusz stwarzał wiele możliwości wizualnych, a reżyser, który sam jest artystą, od początku przystał na moje propozycje. Trudnym filmem dla mnie jako operatora był *Szeregowiec Ryan* Stevena Spielberga. Scenariusz tego filmu opisywał lądowanie aliantów w Normandii podczas drugiej II światowej, ale nie dawał żad-

nych wskazówek dla operatora, jak ta rzeczywistość powinna wyglądać. Przystępując do zdjęć, nie miałem żadnego modelu. Oglądając wojenne kroniki filmowe z tej kampanii, zauważyłem, że zdjęcia były wtedy robione długim obiektywem z dala od pola walki. Zdjęcia dokumentalne były dla mnie interesujące ze względu na emocje, a nie ze względu na to, co widziałem na ekranie. Oglądając je, dziś mamy wrażenie dystansu. Dopiero podczas wojny w Wietnamie zmienił się sposób rejestracji filmów wojennych. Sprzęt operatora miał już mniejsze rozmiary, widz pragnął oglądać wojnę z perspektywy pojedynczego żołnierza, co również podniosło rangę operatora. To była wojna bardziej ▶▶ 2

► 1 partyzancka niż pozycyjna wojna na froncie. W *Szeregowcu Ryanie* kamera towarzyszyła żołnierzom, była tuż obok nich, biegła razem z nimi, kiedy padali, kamera też padała, kiedy żołnierz zostawał postrzelony, krew padała na obiektyw kamery. To był chyba pierwszy film w historii kina światowego, który pokazał wojnę w taki sposób, że widz znalazł się w jej centrum. Wcześniej powstały wspaniałe epepeje wojenne. Rosjanie zrobili doskonałe filmy, choćby *Wojnę i pokój*, Amerykanie zrobili doskonałe filmy, jak *Przeminęło z wiatrem*. Były one wybitne, bo widz identyfikował się z tragedią bohaterów, ale tak naprawdę nigdy nie przeżywał horroru wojny. W *Szeregowcu Ryanie* starałem się pokazać wojnę tak, aby doświadczenie widza w kinie było podobne do doświadczeń i emocji żołnierza na froncie. Ja nie wymyśliłem tej techniki, ona istniała długo przede mną, ja po prostu jej użyłem, chyba we właściwym momencie, do odpowiedniej opowieści. Zapewne, gdyby ten film nakręcił inny operator, powstałby zupełnie inny obraz.

Czy w kolejnym filmie Spielberga "Monachium" też wykorzystał Pan te doświadczenia?

Monachium to film przygodowo-sensacyjny o bardzo wartkiej akcji. Przez wielu widzów jest oglądany jako film polityczny. Jednym z zadań głównego operatora jest stworzenie obrazu, z którym widz może

się natychmiast zidentyfikować.

Ponieważ akcja tego filmu dzieje się w wielu częściach świata, już w pierwszym ujęciu chciałem ułatwić widzowi identyfikację miejsca akcji. W tym filmie mogłem sobie pozwolić na pewne eksperymenty z kolorami. Ateny miały jeden kolor, sceny w Bejrucie były w innym, Cypr miał jeszcze inny. Podobnie Szwajcaria, Niemcy, Włochy miały odrębne kolory. Posłużyłem się oczywiście pewnymi *clichés*. Włochy kojarzą się nam z ciepłem. Kiedy myślimy o Izraelu, czujemy na sobie gorące, kolorowe słońce. Sceny we Francji miały bardziej miękkie, niebieskie światło. Kiedy przenosimy się do Londynu, jest szaro i pada deszcz. Ten zabieg pozwolił na to, żeby widz mógł automatycznie zorientować się, że jest już w innym miejscu tej opowieści.

To był film niemal paradetektywistyczny, w którym często używał Pan obiektyw "zoom".

Monachium dzieje się w latach 70. ub. wieku, kiedy "zoom" został wynaleziony. Ludzie kina zaczęli wówczas używać tego obiektywu niemal jak nowej zabawki. Podobnie było, kiedy wprowadzono kamerę do wykonywania zdjęć z ręki ze statywem amortyzacyjnym ("steady cam").

Co jest dziś, Pańskim zdaniem, "nową zabawką"?

Dzisiaj najbardziej popularne są efekty specjalne. Operator bez problemu może dziś pokazać kamerę,

która przechodzi przez ludzką głowę, przez ludzki mózg. Wszystko jest możliwe dzięki technice. Dla współczesnych filmów charakterystyczny jest również szybki montaż. Dziś uważamy, że widz się nudzi, oglądając powolną narrację. Amerykańskie filmy są robione dla masowej, głównie młodej widowni, która ma zupełnie inną perspektywę postrzegania świata niż nasze pokolenie. MTV i muzyczne wideo wyrobiły w młodych widzach pewne oczekiwania, którym film amerykański musi dziś sprostać, aby być oglądanym. Z tego powodu współczesne filmy są bardzo drogie. Popularni aktorzy zarabiają masę pieniędzy. Rola studia, producenta, aktora stała się ważniejsza niż rola filmowca. Film często kosztuje 150 milionów dolarów lub więcej, następne 100 milionów pochłania jego promocja. Mniej jest dziś miejsca na wyjątkowe filmy.

W jakim stopniu ukształtowała Pana współpraca ze Stevenem Spielbergiem?

Nie wiem, czy mnie ukształtowała. Ja robię takie filmy, jakie chciałem robić już w szkole filmowej. Steven robi filmy, które chciałbym oglądać jako widz. Może dlatego lubimy ze sobą pracować, że patrzymy na kino podobnie. Ja jestem może bardziej zainteresowany dramatycznym kinem niż on, ale jego gust filmowy też się zmienia i coraz bardziej pociąga go opowieść dramatyczna. Wczesne jego filmy, choćby *Szczęki* czy *ET*, były kinem typowo

rozrywkowym, chociaż miały przesłanie społeczne i emocjonalne. Ja lubię długie ujęcia, aby widz mógł się zorientować w miejscu akcji. Podobnie myśli Steven. Jego główne ujęcie zaczyna się zwykle zbliżeniem, następnie w tym samym ujęciu kamera porusza się i to pozwala widzowi zobaczyć duży plan. Później ten plan się coraz bardziej przybliża, przybliża się do ciebie. To jest dużo ciekawsze niż cięcie i zmiana planu. Steven jest mistrzem w tej dziedzinie.

Kto z klasyków kina miał na Pana największy wpływ?

Powiem ogólniej – kino amerykańskie. Wyrastałem w Polsce lat 70. Polska była wtedy dziwnym krajem, ponieważ nie znaliśmy wolności, nie można było swobodnie podróżować, ale istniała pewna swoboda artystyczna. Docierały wspaniałe filmy z całego świata, między innymi amerykańskie. Amerykańskie kino było wtedy zbuntowane i filmy często krytykowały system społeczno-ekonomiczny w USA. Były one wyświetlane w Polsce, gdyż komunistycznej władzy było na rękę pokazywanie Ameryki w negatywnym świetle. Dla mojej generacji w Polsce te filmy były inspiracją – pokazywały Amerykę jako kraj ludzi wolnych, którzy mogli się swobodnie przemieszczać, którzy kwestionowali autorytety. Z polskich filmów największy wpływ na mnie miały filmy Andrzeja Wajdy, lubiłem także filmy Filipa Bajona. Wyjechałem z Polski w 1980 roku, miałem 20 lat.

Od wielu lat chciał Pan wyreżyserować film w Polsce. W jaki sposób doszło do realizacji "Hani"?

Jak zwykle zainteresowała mnie historia. *Hania* to piękna opowieść wigilijna o mężczyźnie, który musiał dojrzeć, aby naprawdę stać się mężczyzną. Ten scenariusz "nosiłem" przez siedem lat. Dopiero dwa lata temu mogłem zrobić ten film. Teraz czytam dużo nowych scenariuszy, bo chciałbym zrobić następny film jako reżyser.

W Polsce?

Niekoniecznie. Realizacja filmu w mało znanym języku limituje możliwości dystrybucji. Nawet film europejski nakręcony w języku angielskim nie gwarantuje dziś znalezienia dystrybutora. Martwi mnie, że często dobre filmy nie znajdują widza ze względu na ograniczoną dystrybucję.

Jakie ma Pan plany na przyszłość?

Steven Spielberg przymierza się do filmu o prezydencie Lincolnie. Mam nadzieję, że będę mógł uczestniczyć w tym projekcie, jeśli plan produkcyjny nie będzie w kolizji z filmem, który zaczynam teraz kręcić z Jimmym Brooksem. Jestem ciągle otwarty na nowe propozycje, może kino europejskie, może kino niezależne. Ważne, żeby ten mój następny film był oglądany.

Dziękuję za rozmowę.

Z JANUSZEM KAMIŃSKIM
ROZMAWIAŁ ANDRZEJ MALESKI

ŁUKASZ BADULA, ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

Wojna literacko-filmowa

czyli od nastohańby do dresiarского kina

Powstała filmowa adaptacja jednej z najśłynniejszych polskich powieści ostatnich lat, jak się wydawało dzieła "nieekranizowalnego" – *Wojny polsko-ruskiej pod flagą białą-czerwoną*.

Zaczął się niepozornie. Od konkursu Dziennik Polek 2000 miesięcznika *Twój Styl*. Jury pod kierownictwem dziennikarza i poety Tomasza Jastruna spośród nadesłanych prac wyluskało serię prozatorskich miniatur *Mięsne skrzydła*. Ich autorką była niespełna 17-letnia Dorota Małowska z pomorskiego Wejherowa. Zdobyła w konkursie pierwsze miejsce. Wyglądało na to, iż młoda scena literacka zyskała nieoszlifowany, dziewczęcy talent, który powolutku będzie dojrzywał do kolejnych drobnych osiągnięć. Stało się inaczej.

Maszynopis debiutanckiej powieści Małowskiej *Wojna polsko-ruska pod flagą białą-czerwoną* trafił do rąk Pawła Dunina-Wąsowicza, wydawcy pisma *Lampa i Iskra Boża*. Dunin-Wąsowicz, słynący z czytelniczkiej pasji oraz niebanalnych inicjatyw kulturalnych, zdecydował się zaryzykować reputację i samodzielnie wydać utwór młodzieżowej pisarki. Jeżdżąc po Polsce z egzemplarzami powieści, często sprzedając je niemal na pniu,



Realia blockerskiej subkultury – na planie *Wojny polsko-ruskiej* w reżyserii Xawerego Żuławskiego

mimo wszystko chyba nie podejrzewał, jakim ładunkiem wybuchowym dysponuje. Publikacja książki Małowskiej w 2002 roku okazała się bowiem bodaj najbardziej spektakularnym wydarzeniem literackim w polskiej kulturze po 1989 r.

DLA OPONENTÓW SUKCESU WOJNY POLSKO-RUSKIEJ... przyczyną bardzo wysokiej jak na rodzime warunki sprzedaży książki (ponad 100 tys. egz.) były nie wartości artystyczne utworu, lecz splot czynników promocyjnych. Przede

wszystkim miano "pierwszej powieści dresiarskiej" nadane utworowi Małowskiej okazało się bardzo rzutkim hasłem reklamowym. Kierowało uwagę ku subkulturze blokowskiej, do tej pory słabo pożytkowanej literacko, a charakte-

ryzującej się przecież własnym kolorytem społecznym. Poza "dresiarским" stemplem nagłośnieniu książki pomogło wydatnie wsparcie poety i prozaika Marcina Świetlickiego (wielu sądziło, iż to on ją napisał) oraz kolejne określenie, tym razem odnoszące się do samej autorki – "nastohańba polskiej literatury".

Tłumaczenie błyskawicznej kariery Małowskiej wyłącznie chwytami reklamowymi wynikało z całkowitej bezradności pewnej części odbiorców wobec przekazu jej debiutanckiej powieści. Autorka sięgnęła po rynsztokowy język, kojarzony z chuligańską podkulturą, i przy jego pomocy skonstruowała dekoracje pozornie realistycznego świata polskich popeerłowskich osiedli. Pozornie, gdyż nad rwaną, chaotyczną fabułą o znarkotyzowanym i porywczym dresiarzu Silnym Małowska postawiła narracyjną nadbudowę. Powieść z obrazka miejskiego przeciwstawiła się w utworze o kulcach powstawania fikcji literackiej. Stąd obecność Małowskiej na kartach książki i jej relacje z Silnym, będącym raz zewnętrznym źródłem inspiracji, a raz niewolnikiem w rękach wszechmocnej narratorki.

Jako bestseller *Wojna polsko-ruska...* spotkała się tak z lawiną ataków, jak i pozytywnych opinii ►► 11

Z wydarzeń kulturalnych w Polsce

LITERATURA

Prezentacja twórczości młodych poetów, wieczory artystyczne, sesje krytyczno-literackie, a także happeningi i koncerty towarzyszą 4. festiwalowi "Poznań poetów".

Rozstrzygnięty zostanie konkurs im. Klemensa Janickiego przeznaczony dla młodych poetów. W wybranych cukierniach pieczywo oraz ciasta są pakowane w specjalnie przygotowany papier pokryty wierszami oraz rysunkami zainspirowanymi twórczością Antoniego Janaszka, poznańskiego futurysty.

Kiermasz, koncerty, spotkania autorskie i dyskusje znalazły się w programie XII Dni Książki Żydowskiej, które odbyły się w Warszawie.

Z tej okazji otwarto wystawę fotograficzną "I wyruszył Jakub z Ber Szewy", na której pokazano zdjęcia autorstwa Sylwii Strębskiej. Czytelnicy mogli spotkać się z Martinem Pollackiem, Szymonem Rudnickim, Jerzym Pomianowskim, Joanną Tokarską-Bakir oraz Jonathanem Wilsonem i Jeanem Yvesem Potelem.

Spektakl *Osiecka – nie żałuję*, koncert Janusza Radka do tekstów Haliny Poświatowskiej i przedstawienie taneczne do piosenek Czesława Niemena to niektóre z atrakcji tegorocznego Jarmarku Świętokrzyskiego, zorganizowanego pod hasłem "Moc poezji" na Świętym Krzyżu.

Książka olsztyńskiego poety i prozaika Kazimierza Brakonieckiego *Historie bliskożnaczne* została uhonorowana Wawrzynem – regionalną nagrodą literacką Warmii i Mazur. Nagrodę czytelników otrzymała *Zmarzłina* Tomasza Białkowskiego.

Laureatów wyłoniono spośród 200 autorów z Warmii i Mazur i piszących o tym regionie, którzy w 2008 r. opublikowali książki.

FILM

W Katowicach odbywa się 12. Festiwal Filmów Kultowych. Jednym z 16 cykli tematycznych jest m.in. "Najgorsze filmy świata", cieszący się szczególnym zainteresowaniem. Do filmów w cyklu "Żywa muzyka, nieme kino" zagrają m.in. Habakuk i Maleńczuk Tuta Rutkowski Super Trio, a cyklowi "Klasyka kina śląskiego" towarzyszy dyskusja z udziałem ekspertów.

Film *33 sceny z życia* w reż. Małgorzaty Szumowskiej uhonorowano Grand Prix 23. festiwalu Tarnowska Nagroda Filmowa. Nagrodę Specjalną przyznano Dariuszowi Jabłońskiemu za *Wino truskawkowe*, a Xaweremu Żuławskiemu za artystyczne przełożenie prozy Doroty Masłowskiej na język współczesnego kina w filmie *Wojna polsko-ruska*.



Chwała mecenasom – autoportret Jacka Malczewskiego, zakupiony przez PKN Orlen i Samorząd Województwa Mazowieckiego, został przekazany Muzeum Mazowieckiemu w Płocku, gdzie będzie ekspozycyjny

TEATR

Przedstawienie *Wszystkie rodzaje śmierci* Artura Pałygi (Teatr Łąźnia Nowa w Krakowie) zdobyło główną nagrodę IV Festiwalu Sztuk Współczesnych R@port w Gdyni. Drugą nagrodę otrzymała *Szajba* Małgorzaty Sikorskiej-Miszczyk (Teatr Polski we Wrocławiu).

Wyróżniono także *Walizkę* Małgorzaty Sikorskiej-Miszczyk (Teatr Polski w Poznaniu) oraz *Fotografie* (Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy).

Sztuce *Nad* Mariusza Bielińskiego przyznano Gdyńską Nagrodę Dramaturgiczną. To najważniejsze w kraju wyróżnienie dla dramaturgów, które jest przyznawane podczas tej imprezy.

Dorota Kolak z Teatru Wybrzeże w Gdańsku i Jerzy Trela z Narodowego Starego Teatru w Krakowie zostali laureatami Grand Prix 49. Kalskich Spotkań Teatralnych – Festiwalu Sztuki Aktorskiej.

MUZYKA

Arnold Rutkowski zwyciężył w 1. Europejskim Konkursie Tenorów im. Jana Kiepury, zorganizowanym w Sosnowcu. Drugie miejsce zajął Kirilianit Cortez-Galvez z Kolumbii, trzecie – Adam Sobierajski. Taki werdykt wydało jury pod przewodnictwem Wiesława Ochmana, który przyznał też własną nagrodę

stki w latach 30. ub. wieku. Inne dzieła ekspozycji to m.in. "Alegoria życia", "Bożki słowiańskie", "Tatry i górale", "Boginka z Ziemiańskiej", cykl *Rzemiosła i Paryż 1925*.

Prace Aliny Szapocznikow, zestawione z dziełami kilku innych artystek jej pokolenia, można oglądać na wystawie "Niezgrabne przedmioty" w Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Zgromadzono prace związane z najbardziej dyskutowanymi obecnie wątkami twórczości Szapocznikow – przede wszystkim odlewami ciała, jego fragmentami czy pozostałościami. Pokazano prace Louise Bourgeois, Evy Hesse, Pauline Boty i Marii Bartuszonej, pochodzące głównie z lat 60. i wczesnych 70.

Ekspozycję "Cudowne lata. Muzyka, poezja, malarstwo. Lata 70. 80." przygotowało Muzeum Literatury w Warszawie.

Do 20 września można oglądać ponad sto dzieł sztuki i tyle samo dokumentalnych zdjęć. Wśród nich są prace tak znanych malarzy, jak: Jan Lebenstein, Marek Sapetto i Łukasz Korolkiewicz; fotogramy: Marka Karwiczka, Erazma Ciołka i Macieja Osieckiego. Obok nich umieszczono fragmenty wierszy Stanisława Grochowiaka, Czesława Miłosza, ks. Jana Twardowskiego, Stanisława Barańczaka i Zbigniewa Herberta.

W Gliwickim Teatrze Muzycznym do 14 czerwca będzie czynna wystawa poświęcona życiu i twórczości Tadeusza Kantora. Znalazły się na niej charakterystyczne eksponaty stanowiące część dekoracji słynnego spektaklu Kantora *Niech szczęzną artyści*. Całość uzupełniają filmy o Tadeuszu Kantorze i zapisy jego spektakli, m.in. *Wielopole, Wielopole, Umarta klasa* i *Nigdy tu już nie powrócę*.

Gazeta Wyborcza

31 prac Jerzego Dudy-Gracza składa się na nową, stałą wystawę w Częstochowie – mieście, w którym artysta spędził dzieciństwo.

Ekspozycję zaaranżowano w nowoczesny sposób – wnętrza są wyciemnione, a obrazy kadrowane światłem reflektorów. Co pewien czas obrazy będą wymieniane, zastępowane innymi.

RÓŻNE

Telewizja Polska wyemitowała film Wojciecha Majewskiego o Rafałku Olbińskim. Autor impresyjnego obrazu *Olbiński – jestem teraz*, pokazuje artystę w różnych sytuacjach – w pracowni, w domu, na spotkaniu autorskim, nowojorskiej ulicy.

W filmie na temat twórczości i życia artysty wypowiadają się m.in. prof. Stanisław Zagórski i Lawrence Weschler, dyrektor New York Institute for Humanities na Uniwersytecie Nowojorskim.

Rzeczpospolita

NA PODSTAWIE SERWISU PAP I INNYCH ŹRÓDEŁ OPR. EWA KARA

W toku

Wydawnictwo Literackie rozpoczęło przygotowania do wydania *Dzieł zebranych Gustawa Herlinga Grudzińskiego*, które ukazywać się będą w latach 2010-2019, kiedy obchodzona będzie setna rocznica urodzin pisarza.

W monumentalnej edycji znajdą się utwory mało znane polskiemu czytelnikowi – artykuły z prasy emigracyjnej i nigdy niepublikowane felietony literackie z Radia Wolna Europa, gdzie Herling-Grudziński w latach 1952-1955 kierował działem kultury. Nowością będą też artykuły z włoskiej prasy, a także korespondencja pisarza, m.in. z Jerzym Giedroyciem.

Włodzimierz Bolecki, jeden ze znawców twórczości autora *Innego świata*, zajmować się będzie przygotowaniem *Dzieł zebranych*.

Filharmonia Berlińska wystąpi we wrześniu w Warszawie. Jeden z najświetniejszych zespołów orkiestrowych świata, działający od prawie 130 lat, wykona pod batutą dyrektora artystycznego sir Simona Rattle'a II symfonię *D-dur op. 36* Ludwiga van Beethovena oraz *IV symfonię c-moll op. 43* Dymitra Szostakowicza.

Niemcy dofinansowują nowy film **Romana Polańskiego**. Reżyser otrzyma 4 mln euro na realizację thrilleru politycznego *The Ghost*, do którego zdjęcia powstają właśnie w Berlinie.

To historia pisarza, który zostaje zatrudniony przez byłego premiera Wielkiej Brytanii do napisania jego biografii. Podczas pracy pisarz odkrywa pewne tajemnice, co powoduje, że jego życie zaczyna zagrażać śmiertelnie niebezpieczeństwem. Główne role grają Ewan McGregor i Pierce Brosnan.

filmweb

Wrocławski **Teatr Pieśni Kozła** jest kandydatem do przysiorocznej nagrody Nowe Teatralne Rzeczywistości, która będzie przyznana podczas II edycji Premio Europa per il Teatro. Europejska Nagroda Teatralna to jedno z najważniejszych europejskich wyróżnień.

Weronika Rosati gra jedną z głównych ról w nowym filmie **Piotra Matwiejczyka** *Piotrek trzynastego*. Ostatnio kręcone były sceny w miejscowości Kurki, gdzie przybywa grupa młodzieży (Dawid Antkowiak, Magdalena Kielar, Natalia Durczok, Paweł Kozioł, Dominik Matwiejczyk, Beata Pelc), która już wkrótce pada ofiarą zamaskowanego mordercy.

Zdjęcia potrwają do końca czerwca i będą realizowane na Mazurach, we Wrocławiu, w Warszawie i innych miastach. Premierę zaplanowano na piątek 13 listopada.

filmweb

Ogłoszono składy jury tegorocznego, **28. Koszalińskiego Festiwalu Debiutów "Młodzi i film"**. Funkcję przewodniczącego jury filmów pełnometrażowych obejmie Radosław Piwowarski, a krótkiego metrażu – Maciej Pieprzyca.

Na festiwal nadesłano 32 animacje, 54 dokumenty, 50 krótkich fabułek i 14 filmów pełnometrażowych.

JANUSZ KRASICKI

Monte Cassino – zwiedzanie w programie Google Earth

Typowa wizyta na Monte Cassino kończy się na polskim cmentarzu wojennym u stóp klasztoru. Ale był nawet przypadek, że jakaś grupa nie wyszła poza klasztorny parking.

Rzadko celem wędrowki jest obelisk 3. Dywizji Strzelców Karpaccich na widocznym nad cmentarzem wzgórzu 593, a do krzyża 5. Kresowej Dywizji Piechoty, niedaleko wzgórza 575, docierają już tylko prawdziwi zapaleńcy i miłośnicy historii.

Mnie interesowałoby przemierzenie piechotą całego pola bitwy, na co należałoby poświęcić kilka dni. A jest to z różnych względów niemożliwe. Swobodne poruszanie się po tym obszarze nie jest dozwolone choćby i dlatego, że nigdy nie został on do końca oczyszczony z różnych wojennych pozostałości, także niewybuchów, i chodzenie poza wyznaczonymi ścieżkami może być niebezpieczne. Dostępne są tylko nieliczne drogi i niektóre sprawdzone tereny nadające się do wykorzystania np. jako pastwiska. Punktem wyjściowym zwiedzania powinno być oczywiście uzyskanie jakiejś podstawowej wiedzy o bitwie.

W ŚWIADOMOŚCI WIELU NASZYCH RODAKÓW Monte Cassino to zdobycie klasztoru przez polskich żołnierzy, którzy „dokonali tego, czego inni dokonać nie zdołali”. Ale o tym, że natarcie 2. Korpusu Polskiego przebiegało już w zupełnie innej sytuacji militarnej na włoskim froncie, że w trzech poprzednich bitwach o Monte Cassino (styczeń, luty i marzec 1944 r.) inne oddziały sprzymierzonych (Amerykanie, Francuzi, Brytyjczycy, Hindusi, Nowozelandczycy) ponieśli straty wcale nie mniejsze od polskich, że klasztoru nikt nigdy nie zdobywał – już mało kto wie.

Wiedzę o bitwie czerwca można z wielu źródeł: z żywej opowieści Melchiora Wańkowicza z jego trzytomowego dzieła-reportażu *Bitwa o Monte Cassino* i jednotomowych wydań, z licznych opracowań naukowych i popularyzatorskich oraz wspomnień wielu uczestników tamtych wydarzeń, a także z kilku filmów dokumentalnych.

Doskonałym uzupełnieniem graficznym materiałów jest album *Szki-ce perspektywiczne terenu walk 2. Korpusu – Monte Cassino* autorstwa 12. Kompanii Geograficznej 2. Korpusu Polskiego. Ale szkice te – skądinąd wspaniałe, prawdziwe dzieła sztuki, warte oglądania nawet bez powiązania ze studiowaniem bitwy – pokazują teren fragmentami, które niełatwo w wyobraźni połączyć w całość. Załącznikiem do albumu jest mapa w skali 1: 25 000, z której dla wygody powiększyłem sobie – do skali 1:10 000 – najbardziej interesujący wycinek masywu Monte Cassino.

W FILMIE DOKUMENTALNYM MELCHIOR WAŃKOWICZ – OPWIEŚCI O BITWIE Jerzego Passendorfera pisarz nie korzystał z mapy (bo nawet najdokładniejsza mapa to tylko płaskie odwzorowanie terenu), lecz z dość prymitywnego, przyklepionego na kotarze perspektywicznego szkicu całego masywu górskiego i na tym rysunku wskaźnikiem pokazywał usytuowanie miejsc i wydarzeń, jakie właśnie omawiał. Zastanawiam się czasem, o ile bogatsza, bardziej dla wszystkich zrozumiała i jeszcze bardziej plastyczna byłaby relacja Wańkowicza, gdyby miał on do dyspozycji takie narzędzia, jakie oferuje nam współczesna technika. Nie mówiąc już o symulacji komputerowej (za pomocą której można całą bitwę odtworzyć), myślę choćby o dostępnym w internecie programie Google Earth.

Teraz, przy wykorzystaniu tego programu, mogę teren bitwy obejrzeć w trzech wymiarach, dowolnie dobierając proporcje wysokości, by obraz był bardziej plastyczny (wzgórza o zboczach mniej lub bardziej stromych). W dodatku z dowolnej wysokości, z bliska i z daleka; w rzucie pionowym, czyli w widoku z góry, lub ukośnie pod dowolnym kątem. Mogę patrzeć z wybranego kierunku na znane z historii bitwy obiekty i punkty wysokościowe i obracać je tak, by uzyskać spojrzenie z takiej perspektywy, jaką mieli na te obiekty walczący tam żołnierze. Mogę jednym kliknięciem zmierzyć odległości między dowolnymi obiektami. I wreszcie mogę „przemieszczać się” nad polem bitwy na dowolnej wysokości i z dowolną prędkością, jakbym po prostu leciał nad tym terenem samolotem, tak jak to czynił przed atakiem polskich żołnierzy gen. Władysław Anders, a po bitwie Melchior Wańkowicz.

OTO WIDOK MASYWU MONTE CASSINO od strony wschodniej, od miasta Cassino.

Serpentyna szosy prowadzącej na szczyt góry klasztornej, z kolejnymi ostrymi zakrętami o 180 stopni. Przy szóstym od dołu zakręcie, na wyciągnięcie ręki, jest Wzgórze Kata (Hangman's Hill, 435 metrów), nazwane tak od przypominającego szubienicę słupa podtrzymującego linię nieistniejącej kolejki na górę. W toku wszystkich czterech bitew o Monte Cassino nikt nie był bliżej murów opactwa niż Gurkhowie z 4. Hinduskiej Dywizji Piechoty (z korpusu nowozelandzkiego), którzy opanowali Wzgórze Kata 16 marca i mieli wziąć udział w ataku na klasztor odległy zaledwie o 250 metrów



Satelitarne zdjęcie Monte Cassino ze strony Google Earth

i położony zaledwie o 80 metrów wyżej. Zaplanowano jednoczesne natarcie z dwóch stron: od zachodu miały uderzyć czołgi, dla których przez kilkanaście dni hinduscy i nowozelandzcy saperzy budowali drogę (Cavendish Road), wykuwając ją, pod osłoną sieci maskujących, ze ścieżki dla mułów. (Przed czwartą bitwą o Monte Cassino Cavendish Road przemianowano na Drogę Polskich Saperów, którzy tę trasę jeszcze poprawili).

Gdy 19 marca 1944 roku trzydziści pięć nowozelandzkich, hinduskich oraz amerykańskich czołgów i dział samobieżnych pokonało Cavendish Road i część z nich zaczęła zbliżać się do zabudowań obsadzonej przez Niemców farmy Albaneta, zaskoczenie było kompletne. Nie spodziewając się żadnego zagrożenia tego rodzaju, Niemcy nie zaminowali drogi minami przeciwczołgowymi. Pod gąsienicami wybuchały jedynie miny przeciwpiechotne, nie czyniąc pojazdom żadnej szkody. Zupełnie inaczej przedstawiała się sytuacja dwa miesiące później, w czasie polskiego natarcia, gdy nauczony doświadczeniem z 19 marca nieprzyjaciel dokładnie zaminował drogę i polscy czołgiści i saperzy ponieśli tu ogromne straty.

ATAK CZOŁGÓW ZAŁAMAŁ SIĘ jednakże już po minięciu przez czołgowe pojazdy farmy Albaneta, na

drodze prowadzącej do klasztoru. W wyniku zaimprovizowanych działań zaskoczonych Niemców, u stóp wzgórza 569 (tak potem znanego z walk 3. Dywizji Strzelców Karpaccich) unieruchomiono pierwszy czołg, którego nie można było wyminąć na wąskiej ścieżce. Z prawej strony jest bowiem strome zbocze opadające do doliny rzeki Liri – dzięki programowi w internecie, widać to dokładnie.

Teraz łatwiej było niszczyć dalsze czołgi, a ponieważ rajd broni pancernej i tak nie miał szans powodzenia, bo – trudno w to uwierzyć – czołgom nie towarzyszyła piechota, całe natarcie po kilku godzinach odwołano i wycofano ocalałe pojazdy.

A po wschodniej stronie wzgórza klasztornej, na Wzgórzu Kata, tkwił pod ogniem batalion dzielnych Gurkhow, czekając na wynik rajdu pancernego. Kontratak Niemców na inne jednostki mające wspierać Gurkhow dodatkowo pokrzyżował wszystkie plany i ostatecznie do natarcia na klasztor nie doszło.

ODDZIELNY TEMAT TO DZIAŁANIA ZMIERZAJĄCE DO WYCOFANIA GURKHOW ze Wzgórza Kata. Siedzieli oni tam, odizolowani, w sumie osiem dni i nocy – od 16 do 24 marca – bez pożywienia, bez pomocy lekarskiej, bez ochrony przed zimą i deszczem, bez dostaw amu-

nacji i innego zaopatrzenia, ponosząc ciągle straty w zabitych i rannych. Postanowiono zaaranżować dywersyjne akcje mające odwrócić uwagę Niemców, by w ten sposób Gurkhowie mogli odskoczyć i połączyć się ze swoimi na dole. Ale by tę akcję skoordynować, trzeba było Gurkhow powiadomić, w jakim momencie i na jaki sygnał mają się ewakuować. Nie można było użyć radia, bo należało zachować przygotowania w tajemnicy, a Niemcy prowadzili regularny nasłuch. Wieczorem wysłano z dołu do góry trzech oficerów z gołębiami pocztowymi, których powrót miał oznaczać, że oficerowie do Gurkhow dotarli i wiadomości przekazali. Dwóch oficerów zdołało przedrzeć się do celu, ale jeden gołąb nie nadawał się do lotu po trudach przeprawy w kieszeni battledressu oficera, który musiał się czołgać, a drugi gołąb bał się latać w nocy, usiadł na skale i czekał do świtu. Ostatecznie udało się resztki batalionu Gurkhow wycofać. Nie omieszkało zauważyć, że w dobie użycia na współczesnym polu walki setek czołgów i samolotów, tysiący dział i innych nowoczesnych środków technicznych, powodzenie akcji zależało od jednego gołębia pocztowego.

I JESZCZE JEDEN FRAGMENT WIRTUALNEGO ZWIEDZANIA. Gdy w nocy z 11 na 12 maja 1944 r. za-

częła się czwarta bitwa o Monte Cassino, tj. tym razem polskie natarcie 2. Korpusu, szły do góry czołgi polskie 4. Pułku Pancernego, tak jak 19 marca czołgi amerykańskie, nowozelandzkie i hinduskie. Wspiwały się Droga Polskich Saperów, by wesprzeć nacierające z Głowy Węża na Gardziel i Albanetę kompanie 1. batalionu 1. Brygady Strzelców Karpaczkich. I mam na monitorze komputera kolorową panoramę tej doliny – widok z północy na południe, to jest w kierunku marszu czołgów – między Colle Maiola i Głową Węża z lewej strony a zboczami wzniesienia 706 i dalej Widma – z prawej. Mogę sobie wyobrazić czołgi, jak pokonawszy stromizny krętej Drogi Polskich Saperów wjeżdżają na łąkę Madras Circus, skąd już prawie pozioma droga (Droga 3. Dywizji Strzelców Karpaczkich) prowadzi do pierwszej i drugiej Gardzieli i do Albanety. Teraz mogę wykonać niski lot i posuwać się wraz z tymi czołgami, na które tak czeka piechota w rejonie Gardzieli, przywożdzona do ziemi ogniem ze wszystkich stron.

Jednakże od pierwszej Gardzieli droga jest już zaminowana. Od wielu godzin saperzy starają się rozminować kolejne odcinki (do drugiej Gardzieli jest 400 metrów), ale bez osłony idzie im to bardzo powoli, ponoszą straty. A tymczasem trzy czołgi zostają unieruchomione. Jeszcze przed świtem nadzieją kolejna grupa czołgów, dla nich droga już prawie oczyszczona. Prawie – bo tuż przed drugą Gardzielą wylatuje na minie i pali się czołowy Sherman ppor. Ludomira Białeckiego.

Niepowodzenie na wszystkich odcinkach bitwy sprawiło, że natarcie zamiera i następuje wycofanie wykrawawionych oddziałów na punkty wyjścia.

MUSIAŁO MINAĆ PIĘĆ DNI, zanim 17 maja ruszyło drugie polskie natarcie, nie mniej krwawe, a dopiero następnego dnia, 18 maja rano, do opuszczonego przez Niemców klasztoru wkroczyli żołnierze 12. Pułku Ułanów Podolskich i nad ruinami załopotwały flagi polska i brytyjska. Ale Niemcy nadal bronili zachodniej części masywu Monte

Cassino. Nadal walczyły tam zdziękowane już pododdziały 5. Kresowej Dywizji Piechoty. Ostatni bastion, wzniesienie 575, został opanowany dopiero 19 maja.

Każdy punkt terenu bitwy, z którym związane są zmagania poszczególnych oddziałów uczestniczących w bitwie, mogą sobie obejrzeć konfrontując obraz z opisem w opracowaniach poświęconych Monte Cassino.

Przeplatają się angielskie, włoskie i polskie nazwy powtarzane w dziennikach bojowych kolejnych walczących tu jednostek różnych nacji, na zawsze związane z historią tej bitwy: Monte Cairo i Monte Castellone; Hangman's Hill – Wzniesienie Kata; Phantom Ridge – Widmo; Wild Cat Hill – Żbik; Snakeshead – Głowa Węża; Domek Doktora; Bramka; Castle Hill – Wzniesienie Zamkowe; Monastery Hill – Wzniesienie Klasztorne; Gorge – Gardziel; Albaneta; Madras Circus; Colle Maiola; Cavendish Road – Droga Polskich Saperów; Great Bowl and Little Bowl – Wielka i Mała Miska; Monte Calvario – Góra Ofiarna, czyli 593. I inne wzniesienia jako punkty

wysokościowe, oznaczone tylko numerami: 569, 236, 447, 706, 575... bez końca. Z każdym wiąże się dramat oddziałów i pojedynczych żołnierzy.

MELCHIOR WAŃKOWICZ, KTÓRY OGLĄDAŁ POBOJOWISKO z pokładu samolotu piper cub, napisał: "Widzę ciebie, ponownie, ziemię męki, pole chwały. Tam w dole zakłęsa się w krzakach przeczuwana tylko przez zabijanych i ranionych prawda o tobie, przebłyskująca w ostatniej godzinie dowódcy kompanii, przed którym «rozwarła się przepaść nierozpoznana na mapie», dowódcy czołgów, którego przedśmiertny meldunek sygnalizuje niezidentyfikowane wzniesienie, «nagle wyrosło» – wzniesienie widmo.

Ale ja teraz – mając pod sobą teren niezadymiony, nie obawiając się messerschmidów ani niemieckich pelotek – widzę.

Już to dla mnie nie pusty amfiteatr – teren walki – oczekujący na krwawe igrzysko.

Żyje mi w oczach każdy szczyt, jar, ścieżka, każde urwisko, kotlinka, spad. Ziemia ta dla mnie nie jest

zastygłym stołem plastycznym – te wszystkie jej stoki i przeciwstoki, zakrzaczenia, głazowiska grają swoim odrębnym życiem w miarę jak przypominam – co się tu działo.

Tu – gdzie obie strony rzuciły pół miliona pocisków armatnich i moździerzowych i niezliczoną ilość pocisków z broni maszynowej.

To już nie amfiteatr martwy – to twarz potwora.

Cairo – jak czoło jednookie. Widmo i 593 – jak potworne gęby chłone.

Jak żuchwy żujące 569, 575, San Angelo.

Gardziel – jak przetyk. Droga Saperów i Droga 3. DSK – ramiona ośmiornicy wciągające żer.

Kotliny wylądowane trupami – jak bandzioch wiecznie nienapełniony. Klasztor – jak czarne złe serce, tłukące się w piersi monstrum.

Ścieżki, którymi, jak rąnsztokami, płynęła krew – jak gargantuiczne zmarszczki, kurczące się spazmem szatańskiego śmiechu".

Gdybym teraz pojechał na Monte Cassino, czułbym się, jakbym tu przebywał już długo. □

ANDRZEJ ŚWIDLICKI

Inny wymiar historii

Książka Normana Daviesa *Od i do* opowiada historię Polski ostatnich 150 lat przez korespondencję.

Ten graficznie atrakcyjny album – drukowany w Hongkongu, z reprodukcjami w sepii i powiększeniami szczegółu, dostępny w dwutomowej wersji polskiej i jednotomowej angielskiej – jest pracą z pogranicza filatelistyki i historii.

Davies, który nieustannie szuka nowych i atrakcyjnych form opowiadania historii, zwłaszcza młodym ludziom, pod wpływem internetu bardziej przywykłym do myślenia obrazkowego niż do wchłaniania tomów pisanego tekstu, wpadł na pomysł opowiedzenia historii Polski przez historię listowej i kartkowej korespondencji. "Znaczkami, kasownikami, oficjalne teksty na korespondencji mówią nam o politycznym kontekście i mają walor edukacyjny" – zaznaczył autor podczas spotkania z czytelnikami w londyńskim Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym, na którym musiał poważnie obawiać się, że zostanie staranowany przez czytelników, którzy chcieli go żywcem wykatapultować do nieba.

DAVIES ROZRÓŻNIA HISTORIĘ makro, oglądając oczyma wielkich aktorów dramatu, na którą składają się bitwy, przewroty, rewolucje, odbudowa państwowości oraz historię w mikroskali – indywidualny los ludzi w cieniu tych dramatów. Historia pocztowa to synteza makro- i mikrohistorii. Ta druga nadaje pierwszej ludzki wymiar i umożliwia odejście od stereotypów makro: "Wielu młodszych Polaków przyzwyczaiło się do myślenia o Polsce w kategoriach jej obecnych granic. (...) Historia pocztowa jest dobrym sposobem

unaocznienia myślącym w ten sposób osobom, że pojęcie «Polska» jest znacznie bardziej elastyczne, niż sobie wyobrażają" – napisał autor we wstępie. To pożyteczna uwaga, gdy pojęcie polskości ulega zawężeniu, a Polacy zapominają, że kiedyś żyli w państwie wielonarodowym, konkurującym z Rosją na terenach stanowiących obecnie Litwę, Białoruś i Ukrainę, utraconych w wyniku II wojny światowej.

Davies ma talent do syntezy i dba o szczegóły. O II RP pisze np.: "Był to heroiczny eksperyment w narodowym samostanowieniu, przeprowadzony wbrew politycznym, społecznym, gospodarczym i nade wszystko międzynarodowym trudnościom". Celna jest synteza PRL: "Państwo socjalistyczne to była tylko agenda administracyjna rządzącej partii komunistycznej. (...) W systemie sowieckim – poza arbitralną sukcesją nowego dyktatora – nie było sposobu ani instytucji, przed którą partia by odpowiadała. W przeciwieństwie do carów, czy Ludwika XIV szef partii nie miał swego spowiednika". Czytelnika mniej obnażonego z niuansami międzywojennego dwudziestolecia może zdziwić teza, iż Front Morges był najbardziej wpływową opozycją drugiej połowy lat 30., mimo iż działał na emigracji. Myśli tej nie zaszkoziłoby rozwinięcie.

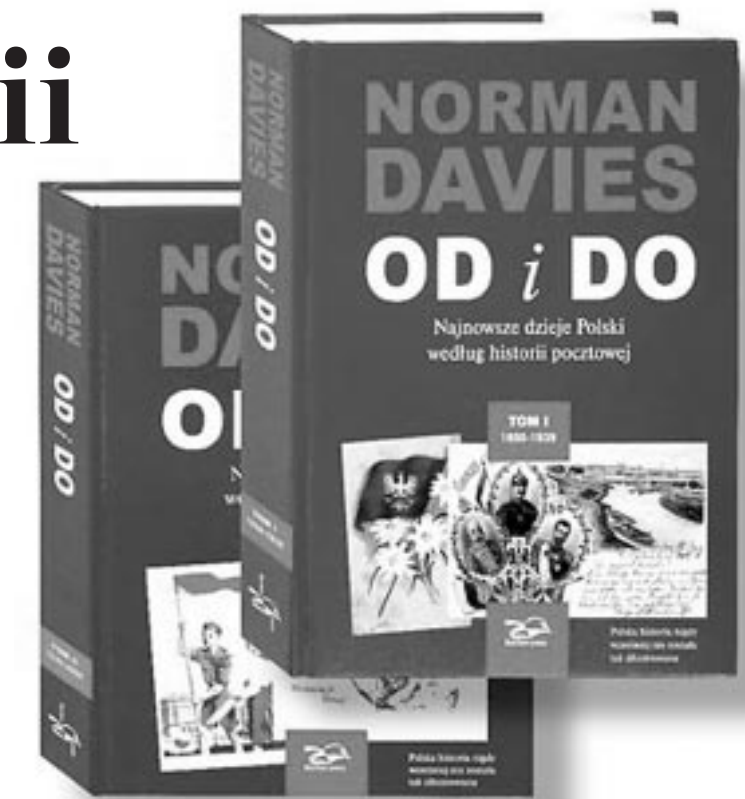
Autor ubarwia narrację mało znanymi epizodami. Przypomina np., że PRL była wskrzeszona przez Stalina koncepcją rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, które we wrześniu 1914 r. wydało mapę "przyszłej Europy" obejmującą Królestwo Polskie rozciągające się od Bugu do Odry i rządzone przez rosyjskiego arcyksięcia.

WŚRÓD REPRODUKCJI LISTÓW I KARTEK SĄ RARYTASY, np. korespondencja Jana Ignacego Modrzewskiego, lekarza z Lublina słu-

żącego w armii carskiej w Mandżurii w latach 1904-05; korespondencja Jana Kazimierza Kasprzyckiego, jednego z ok. 26 tys. polskich oficerów i cywilów – ofiar NKWD; gryps z Pawiaka, całkowicie zacierzona przez cenzurę kartka wysłana do więzienia śledczego przy Rakowieckiej zaadresowana do Bogdana Lisa. Rzadkim okazem jest list żydowskiego samorządu wysłany do Judenratu w Grybowie (okręg Nowy Sącz). Ta efemeryda działała krótko po upadku austriackiej Galicji w latach 1918-19, a więc w burzliwym okresie rozwoju filatelistyki i pocztowej historii, w którym było też wiele wydań spekulacyjnych.

Klimat czasu oddaje Davies reprodukcją ulotki, plakaty, nalepki i fotografie, kreśląc sylwetki ludzi. Uwagę zwracają pierwsze w świecie zdjęcia obozów koncentracyjnych SS Auschwitz I i Auschwitz-Birkenau wykonanych z lotu ptaka przez brytyjski wywiad lotniczy. Zdjęcia analizowano w bazie RAF-u w Medmenham, ale interesowały one Brytyjczyków tylko pod kątem fabryki paliw syntetycznych. Ostatnich klatek na rolkach w ogóle nie obejrzano. Odkryto je dopiero w połowie lat 70. w archiwach Amerykańskiej Agencji Wywiadu Wojskowego – nie zrobiono z nich odbitek.

Brak mi w tej książce m.in. korespondencji lotniczej z obłożonego przez Rosjan Przemyśla (Fliegerpost Przemyśl) w 1915 r., listów i znaczków z getta (wydawano je w getcie łódzkim), brak oryginalnej twórczości z Woldenberga, Gross Born (Borne Sulinowo), Neu Brandenburg czy Murnau, jeśli nie liczyć reprodukowanych okolicznościowych kasowników Woldenberga. Nie ma korespondencji dipisów w Niemczech (jedynym śladem ich obecności jest bloczek byłych więźniów z Dachau) ani korespondencji internowanych w stanie wojennym. Niektóre podpisy pod re-



produkcjami listów i kartek są niekompletne, a część materiału filatelistycznego, zwłaszcza ze stosunkowo świeżego okresu PRL – poślednia. Komercyjne produkty Aleksandra Stockiego (biuro pocztowe 1. Korpusu) ze Szkocji nie są oznaczone jako takie.

REDAKTORSKIE I KOREKTORSKIE NIEDOCIĄGNIĘCIA sprawiają wrażenie, jakby autor zlecił ten trud komuś, kogo on przerósł. *Hauptstadt der Bewegung* (na nazistowskim kasowniku używanym w Monachium) to stolica ruchu (w domyśle nazistowskiego), a nie postępu. 2 lutego 1944 r. Stowarzyszenie Filatelistów Polskich w Wielkiej Brytanii nie wydało kartki z okazji "XXV rocznicy podjęcia przez rząd polski decyzji o emisji polskich znaczków za granicą", lecz dla upamiętnienia XXV rocznicy pocztowej unifikacji terytorium Polski. Przewóz korespondencji pocztą lotniczą do państw zachodnich, wbrew twierdzeniu autora, odbywał się także przed październikową

odwilżą. Po 1956 r. doszły połączenia PLL LOT. Właściciel sklepu filatelistycznego przy Strandzie w Londynie to Zbigniew Bokiewicz, a nie Borkowski. Edward Raczyński nie był księciem, lecz hrabią. Reprodukacja jednego i tego samego waloru występuje dwukrotnie (s. 219 i s. 233). Są też przeoczenia, jak np. data zajęcia Zaolzia (s. 255). Najpoważniejszym błędem jest pomylenie wojennej cenzury PRL na listy wysyłane zagranicę z cenzurą brytyjską.

Od i do to książka wielowarstwowa pokazująca historię wizualnie. Można ją czytać zaczynając od dowolnego punktu i niechronologicznie. Można ją czytać zarówno koneser, jak i dyktant nawet kilka razy. Zyskałaby, gdyby przed drukiem była przejrzana przez ekspertów i starannie zredagowana, ale braki te nadrabia atrakcyjna forma i wartka narracja. □

Norman Davies: *Od i do. Najnowsze dzieje Polski według historii pocztowej*, t. I-II, Rosikon Press, Warszawa 2008, s. 712.

MAGDALENA SZĄLKOWSKA

Siła pasji

25-lecie Polskiego Instytutu Teatralnego w Ameryce

Jeśli tylko zechcemy, możemy gościć aktorów w szkołach naszych dzieci czy salach koncertowych amerykańskich miast, w których są polskie skupiska. Jakim sposobem?

W Stanach Zjednoczonych działa jedyny polsko-amerykański profesjonalny teatr wystawiający skarby polskiej literatury klasycznej, dramatycznej i muzycznej.

PIT działa w Nowym Jorku od 1984 roku pod kierownictwem artystycznym pani Niny Polan (Janiny Katelbach), której talent wciąż możemy podziwiać na scenie. Dyrektorem muzycznym jest Pablo Zinger, zaś zespół tworzący przez aktorów różnych narodowości prezentuje sztuki, spektakle operowe, muzyczne i poetyckie. Nie posiadając własnego obiektu, teatr ma charakter objazdowo-gościnnie. Warto dodać, że instytucję wspiera finansowo New York State Council on the Arts. Przedstawienia grane są w Ameryce Północnej głównie tam, skąd płyną zaproszenia od Polonii lub Amerykanów – na przykład od LaMaMy. Na Manhattanie, który jest siedzibą Instytutu, możemy zapoznać się z jego repertuarem głównie dzięki gościnności Fundacji Kościuszkowskiej. Konsulat Generalny ograniczył w tym roku występy PIT do jednego przedstawienia. Na Greenpoincie i w innych dzielnicach miasta, poza szkołą na Queensie i zaproszeniu miasta Nowy Jork, PIT nie gościł od lat.

NIEDAWNO MIELIŚMY OKAZJĘ OBEJRZEĆ *Kalejdoskop piosenki polskiej* granej w konsulacie, który wraz z *Pastoralką*, *Staropolskim kuliem świątecznym*, *Kramem z*

piosenkami, *Krakowiakami* i *Góralami* należy do stałego repertuaru Instytutu. W 1998 roku powstała objazdowa wersja *Halki* – pierwsze profesjonalne wystawienie opery w Stanach Zjednoczonych. Była grana dzięki sponsorstwu Fundacji Kościuszkowskiej w nowojorskim Kaye Playhouse. *Halka* też była wystawiona w Kennedy Center w Waszyngtonie i miała wspaniałą recenzję. Z inną operą Stanisława Moniuszki – *Verbum nobile* – też pierwszą profesjonalną inscenizacją w USA, Instytut gościł w Polsce: w Krakowie, Warszawie, Rzeszowie, Łańcucie, Mielcu i Krynicy. W Europie występował również w Paryżu, Wilnie i Lwowie. W tym roku z okazji przypadającej setnej rocznicy śmierci Heleny Modrzejewskiej PIT wystawia monodram *Helena – królowa emigrantów* Kazimierza Brauna po angielsku (będzie go można zobaczyć podczas tegorocznego zjazdu Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, który odbędzie się w dniach 13-14 czerwca w Jersey City). W przygotowaniach – jedyna operetka Karola Szymanowskiego *Loteria na mężów* w wersji anglojęzycznej oraz komedie *Ciotka Karola* Brandona Thomasa z muzyką Władysława Szpilmana, również w wersji anglojęzycznej.

W obecnym zespole PIT-u, poza wspomnianą Niną Polan, występują m.in. Justyna Giermola Di Biaggio, Małgorzata Staniszevska i Grzegorz Heromiński. A w okresie 25 lat przewinęło się przez teatr przynajmniej 170 aktorów, śpiewaków



Zespół Polskiego Instytutu Teatralnego w *Kalejdoskopie piosenki*

operowych, choreografów, reżyserów, dramaturgów, scenarzystów, muzyków i kompozytorów.

SKĄD IDEA STWORZENIA TEGO TYPU OŚRODKA KULTURALNEGO W AMERYCE? Czy Polonia tu żyjąca potrzebuje rozrywki na dobrym poziomie? Tak o przyczynach powołania do życia Polskiego Instytutu Teatralnego mówi Nina Polan:

– Wzięła mnie cholera. W Polsce żyłam tylko 3 lata, przed wojną. Jestem wychowana w Anglii, gdzie tuż po wojnie, do Londynu, zjechały polskie teatry z Włoch i innych ośrodków wraz z przedwojennymi aktorami i reżyserami. Dołączyłam do nich. Graliśmy w Londynie gdzie się dało, przede wszystkim w ogniskach u kombatantów i jeździliśmy po całej Anglii po obozach dipisów (*Displaced Persons*), ośrodkach polskich, szpitalach. Potem w Radiu Wolna Europa w Monachium, wraz z Wiktorem Budzyńskim i Romanem Palestrem, którzy doskonale znali literaturę polską, propagowaliśmy rzeczy, które w Polsce były zakazane. Nasze dziedzictwo jest wspaniałe – a mam porównanie, bo studiowałam w Anglii tamtejszą literaturę oraz kończyłam szkołę dramatyczną – polska poezja romantyczna jest doskonała, niestety nie jesteśmy tak znani w świecie jak twórcy angielscy czy niemieccy. To zresztą wina Polaków, bo nie cenią własnego dziedzictwa kulturalnego i związanej z nim historii, przez co np. Amerykanie nic o naszej kulturze nie wiedzą. Postanowiłam podjąć próbę zmiany tego stanu rzeczy.

NINA POLAN JAK POWIEDZIAŁA, TAK ZROBIŁA. Zaczęło się od różnych akademii i kabaretów, przygotowywanych głównie z Ziemowitem Karpińskim (aktor, reżyser, porucznik Armii Krajowej), który przebywał w Nowym Jorku od 1951 roku, uczestnicząc w polonijnym życiu teatralnym. Występowali głównie w knajpach i małych salach parateatralnych. Wystawiali pastoralki, fragmenty sztuk czy oper. Nina Polan grała równocześnie w amerykańskich teatrach Nowego Jorku, Seattle, Wisconsin czy Nowego Orleanu. Gdzieś “po drodze” poznała Lecha Michalskiego, który to przekazał jej Polski Instytut Teatralny. Repertuar rozszerzył się, grali około 30 przedstawień w roku. Sama *Pasto-*

ralka Schillera w okresie świątecznym była grana minimum w 10 parafiach. Zespół coraz częściej wozował po Stanach Zjednoczonych. Formuła objazdowa sprawdziła się. Trasom nie było końca.

Poza teatrem jako formą sztuki PIT, jak większość ośrodków kulturalnych, przyciągał dusze pokaleczone politycznie. Ludzie jednoczyli się dzięki podobnym poglądom, współodczuwaniu i współdziałaniu.

Z CZASEM ZACZĘŁY SIĘ WYJAZDY NA FESTIWALE międzynarodowe teatrów zagranicznych lub polonijnych. Po otwarciu granic zespół PIT wyjeżdżał do Lwowa i Wilna oraz oczywiście do ojczyzny – zapraszały Kraków, Warszawa, Rzeszów, Mielec, Krynica, Przemyśl czy Łańcut. Można by uznać, że rozkwit w pełni.

Tak się jednak nie dzieje. Po licznych trasach, przygotowaniu ponad 25 sztuk, wydaje się, że działalność tej instytucji teatralnej coraz mniej wszystkich interesuje. Obecna Polonia nie jest już tak zainteresowana inscenizacjami rodzimych dzieł, bo ma polską telewizję i seriale... Konsulat pełni w zasadzie inne zadania, stąd częstotliwość występów PIT-u w pałacyku przy Madison Ave. jest ograniczona. Instytut Kultury Polskiej zajęty jest promowaniem Polski znad Wisły, a nie Polaków znad Hudsonu, więc zostaje – jak zwykle – wiara w ludzi, czyli w nas, Drodzy Czytelnicy.

Obecnie zespół tworzą utalentowani i znani artyści. Któż z nas nie pamięta Adasia z komedii Juliusza Machulskiego *Kingsajz*? Grzegorz Heromiński wrócił do aktorstwa po czteroletniej przerwie, rozpoczynając rolę Heroda współpracując z Instytutem 12 lat temu w przedstawieniu przygotowanym z okazji świąt Bożego Narodzenia. Potem zagrał w *Krakowiakach* i *Góralach* Wojciecha Bogusławskiego, m.in. wraz z Japończykiem i Afrykaninem, i w *Kabarecie Wielkiej Trójki*, przypominającym twórczość Wiktora Budzyńskiego, Mariana Hemara i Feliksa Konarskiego. Justyna Di Biaggio (mezzosopran) jest w zespole od 2006 roku, kiedy to Nina Polan zaprosiła ją do udziału w inscenizacji *Halki*. Mówi J. Di Biaggio: “Roli Zofii musiałam nauczyć się w 2 tygodnie, ponieważ ktoś zrezygnował w ostatniej chwili, a pani Ninie zostałam polecona przez Pabla Zinge-

ra, który słyszał mnie kilka lat wcześniej i zapamiętał”. Małgorzatę Staniszevska, która zadebiutowała w roli Małego Wilka w *Powtórce z Czerwonego Kapturka*, mogliśmy podziwiać ostatnio w *Kalejdoskopie piosenki polskiej*.

WSZYSTKICH ŁĄCZY JEDNO – PASJA I CHĘĆ GRANIA. Podkreślają, jak wielką radość sprawia kultywowanie polskich tradycji. Np. Justyna Di Biaggio, która przyjechała z rodzicami do Stanów Zjednoczonych jako pięcioletnie dziecko, tak mówi:

“Od najmłodszych lat byłam zainteresowana teatrem i muzyką klasyczną. Jeśli więc nadarzyła się okazja połączenia muzyki i polskości, to musiałam wziąć w tym udział!”.

Czy obecnie brakuje nam znajomości tradycji czy też bodźców do jednoczenia się i jej pielęgnowania? W czasach istnienia PRL-u z pewnością serca były gorętsze, wróg konkretny, więc i okazja do walki słowem częstsza. Czego więc brakuje nam teraz? Czasu, chęci do działania czy pieniędzy? Może wszystkich go po trochu? Może w środowisku emigracji panuje już taka obojętność, że żaden teatr nie jest w stanie nic zmienić?

Polski Instytut Teatralny boryka się z problemami finansowymi, gaże dla aktorów niejednokrotnie z własnej kieszeni opłaca Nina Polan. A przecież trzeba jeszcze uszyć kostiumy, a potem znaleźć miejsce ich przechowywania, trzeba opłacić salę prób, twórców muzyki, choreografii – lista wydatków jest długa.

Jednak nie zawsze chodzi o pieniądze. Zaczniemy od siebie, sprawdźmy, co jeszcze wiemy o kulturze dziadków i ojców, o jej historii. Co możemy przekazać dzieciom? Które szkoły z okazji ważnych wydarzeń w historii Polski przygotowują dla najmłodszych atrakcyjną lekcję historii?

Polski Instytut Teatralny pełni bardzo pożyteczną rolę. W głównej mierze od nas wszystkich zależy, jak długo uda się utrzymać jego działalność. Dlatego zainteresowanych współpracą i pomocą dla zespołu zachęcam do skontaktowania się z Niną Polan: Polish Theatre Institut in the USA, 16 West 64th St., #2B, New York, NY 10023, e-mail: poltheatreinst@aol.com. Dodatkowe informacje można znaleźć na stronie internetowej www.poltheatreinst.com. □



Nina Polan w monodramie *Helena* Kazimierza Brauna

TEATR | GRAXYNA DRABIK

Nowojorska kronika

Jesteśmy w groźnej, zamkniętej przestrzeni. Środek sceny, pusty jak więzienny dziedziniec, otaczają wysokie metalowe kratki wielopoziomowych cel.

W każdej celi, widać przez kraty, ktoś siedzi. Wszyscy w takich samych ciemnoszarych strojach. Wszyscy krótko ostrzyżeni. Wszyscy sobie podobni.

Rozlega się ostry dźwięk dzwonka: długi, nieprzyjemny. W nagłej ciszy cała uwaga skupia się na mężczyźnie, który powoli wkracza na scenę. Jest elegancko ubrany, postawny, od razu widać, że to człowiek władzy. Jego pytanie brzmi oskarżająco: "Kto jest chrześcijaninem? Kto żydem?". Pytaniami skierowanymi do strażników i do więźniów zwraca się także do nas.

Kupiec wenecki to dziwna sztuka i dziwnie tu przedstawiona. Szekspir umieścił akcję w Wenecji, malowniczym porcie na skraju Morza Śródziemnego. Powinno więc być kolorowo, słonecznie i romantycznie. Wenecja znajduje się wystarczająco daleko, by bohaterowie mogli zachowywać się odmiennie niż w wilgotnym i chłodnym klimacie północnego miasta. Wystarczająco blisko, by rozpoznać te same cechy charakteru, te same pasje rządzące ludźmi: wzajemna niechęć, a nawet nienawiść między konkurentami, chęć zemsty za krzywdy doznane czy wymagowane, chęć panowania nad własnym losem oraz nad losem swoich bliskich.

Miała to być komedia: sielskie miejsce akcji, liczne wątki romantyczne, fajerwerki pomyslnego zakończenia. Ale jakoś niewiele tu do śmiechu i jeszcze mniej do emocjonalnych satysfakcji. Rzecz niby o miłości: młody i piękny Bassanio bez trudu zdobywa serce oraz fortunę młodej i pięknej Porcji. Śliczna żydowska dziewczyna Jessica kocha się z wzajemnością w Lorenzo, przyjacielu Bassanio. Nerissa, służąca Porcji, też szybko znajduje partnera i zawiąże węzeł małżeński z Gratiano.

Lecz w tle udanych wzajemnych zalotów Porcji i Bassanio żarzy się dwuznaczny płomień gorących uczuć Antonio wobec Bassanio. Lojalność samego Bassanio też jest jakoś zbyt płynna. Jego łatwość manipulacji uczuciami przyjaciela uderzająca. Swoje małżeństwo Jessica opłaca zdradą wobec ojca i wyrzeczeniem się własnej religii. Swobodny styl życia rozrzuconego Lorenzo Jessica opłaca klejnotami skradzionymi z domu. Pierścienek jej matki pójdzie na kaprys: zakup małpki od jakiegoś marynarza. Z kolei Nerissa wydaje się równie chętna do zawarcia małżeństwa, jak do rozwiązania swego związku z Gratiano. Zabawa, na ile w ogóle *Kupca weneckiego* można za komedię uznać, jest tu szczególnie goryczą podszyta.

Wątki romantyczne są już przez samego Szekspira wręcz lekceważaco traktowane, jakby go nudziły. Wiadomo, piękni i młodzi zakocha-



Szekspir znów nasz współczesny? Inscenizacja *Kupca weneckiego* w reżyserii Edwarda Halla

ją się w sobie, i co z tego. Życie i tak postawi przed nimi twarde dylematy. Inscenizacja przygotowana przez angielski zespół Propeller pod kierunkiem Edwarda Halla jeszcze uwypukla ten antyromantyczny charakter sztuki. Więzienny krajobraz podkreśla gwałt wszechobecny w stosunkach międzyludzkich.

Bardziej skomplikowane sprawy niż młodzieńcze uniesienia wysuwają się na plan pierwszy. Shylock, żydowski pobratymiec, staje się główną postacią i punktem odniesienia. Do niego zwraca się w potrzebie Bassanio z prośbą o pożyczkę. Jego prosi Antonio o pozytywną odpowiedź dla Bassanio, kiedy sam nie ma pieniędzy, by go dalej wspierać. Jego żale za niesprawiedliwe traktowanie osadzają innych: chrześcijanie, a jak nie po chrześcijańsku się zachowują. Jego żądza zemsty wyznacza dynamikę dramatycznej akcji.

Konflikt o dług, jaki ma wobec niego Bassanio, przemienia się w ogólną dyskusję o sprawiedliwości: czy określa ją litera prawa, czy współczucie. Jeśli współczucie, to komu ono się należy i z jakiej racji. Uderzający jest fakt, że właściwie nikt tu szczególnie na współczucie nie zasługuje. Nikt też nie budzi szczególnej sympatii.

Ta emocjonalna wstrzemięźliwość określa przedstawienie. Należy uznać je za duży sukces: dobrze wykonane trudne zadanie, jakie Hall sobie postawił. Lecz dystans, jaki skutecznie tu stworzył, jednocześnie wyznacza ograniczony efekt całości.

Przeglądamy się z uwagą kontrędansom animozji konkurujących gangów. Słuchamy wzajemnych oskarżeń. Antonio i Shylock są różni w wierze i charakterze, lecz podobnie bezwzględni. Podziwiamy inteligentny pomysł inscenizacji. Podziwiamy dobrą grę zespołu, szczególnie aktorów grających role kobiece. Kelsey Brookfield daje cały koncert jako Porcja, przekonująca w każdej swej inkarnacji: przesadnie ironiczna jako *drag queen*; elegancka w garniturze Balthazara, młodego prawnika, który przechy-

ła szale sprawiedliwości; pełna słusznego gniewu wobec nielojalności Bassanio; szybka w przebaczeniu. Jon Trenchard diametralnie odmiennymi środkami stwarza wyrazisty portret młodziutkiej Jessiki.

Nigdy jednak nie przekraczamy emocjonalnego dystansu, nie wychylamy się poza barierę względnie bezpiecznej ciekawości. Nie dzielimy ani żalów ani niepokojów obserwowanych postaci. I mimo tego, że pierwsze padające ze sceny pytanie powraca na końcu, znów bezpośrednio adresowane do nas, pozostawia nas obojętnymi, tak jak wszystkim wcześniej obserwowane wydarzenia i konflikty. Jakby nas nie dotyczyło. Jakbyśmy nie musieli zajmować żadnego stanowiska.

DO PÓJŚCIA NA 9 TO 5: THE MUSICAL w Marquis Theatre namówiła mnie córka, która mile wspomina film Colina Higginsa z 1980 r. I choć denerwowała ją przesada ciągle zmieniającej się i migoczącej scenografii, bawiła się niezłe, przypominając sobie znane melodie. Żal jej tylko było, że nie oglądała na żywo Dolly Parton. Jako Doralee Rhodes, dziewczyna z Południa zagubiona w wielkim mieście, lecz niepokonanego ducha, Parton potrafiła nadać piosence, takim jak tytułowa *Odziewiętej do piątej* czy *Zemsta pasterki*, szczególnie wydźwięk.

Ja filmu nie widziałam, nie mogłam więc zbudować sobie łódzki kołyszącej się na falach miłych wspomnień. Dla mnie na scenie działo się jednocześnie za dużo i nic, a wszystko za głośno. Opowiadka o trzech kobietach, które pomiatane w biurze łączą swe siły w buncie przeciw okropnemu szefowi, ani mnie nie potrafiła zaciekać, ani zabawić.

Humor tu głównie sytuacyjny, mocno przestarzały. Gra w stylu przesadnym, wręcz wodewilowym, szczególnie Marca Kudisha w niefortunnie ustawionej roli zniecierpliwionego, a przygłupiego Franklina Harta jr. Może lepiej wypożyczyć sobie film i zrobić w domu spotkanie z piosenką oraz z Doralee, Violet i Judy.

ZDUMIAŁO MNIE, ŻE PRZYWĘDROWAŁ NA BROADWAY Eugène Ionesco, który tu, wydawałoby się, pasuje jak motyl do kuźni. Rumuńsko-francuski pisarz specjalizował się przecież w stawianiu trudnych pytań o sens życia czy raczej bezsensu wobec śmierci i metafizycznej pustki. Ionesco stawiał przy tym te swoje uparte pytania w trudny sposób, bo podważając reguły dramaturgicznej konstrukcji i logiki języka.

Exit the King jest ambitnym przedsięwzięciem Neila Armfielda i Geoffreya Rusha, współtwórców nowego tłumaczenia tekstu o królestwie – gdzieś, kiedyś – które po długim okresie świetności nieu-

chronnie zbliża się ku końcowi. Król umiera. Rozpada się cały jego świat. Każda z sześciu postaci wokół niego ma wyraziście określoną rolę. Każda stanowi świat sam w sobie, który też przecież musi się skończyć.

Przedstawienie zbliża się do precyzyjnie zagranego utworu muzyki kameralnej. Jaśnieje w nim szczególnie Geoffrey Rush jako Król Bérenger i Susan Sarandon jako Królowa Marguerite, która przygotowuje go do konfrontacji ze śmiercią. Marguerite jest cierpliwą, lecz i bezwzględną przewodniczką, która bez wątpliwości, co do swego zadania, prowadzi Bérengera do – właśnie, dokąd?

William Shakespeare, *The Merchant of Venice*. Reżyseria: Edward Hall, scenografia i kostiumy: Michael Pavelka, oświetlenie: Ben Ormerod, muzyka: John Trenchard i Propeller. Występują: Bob Barrett (Antonio), Kelsey Brookfield (Portia), Richard Clothier (Shylock), Babou Ceesay (Duke of Venice), Richard Dempsey (Lorenzo), John Dougall (Lancelot Gobbo), Chris Myles (Nerissa), Jack Tariton (Bassanio) oraz Jon Trenchard (Jessica). Watermill Theatre i Propeller, 6-16 maja w Harvey Theater, Brooklyn Academy of Music.

Eugène Ionesco, *Exit the King*. Reżyseria: Neil Armfield, scenografia i kostiumy: Dale Ferguson, oświetlenie: Damien Cooper, inżynieria dźwięku: Russell Goldsmith, muzyka: John Rodgers. Występują: Lauren Ambrose (Queen Marie), Brian Hutchison (The Guard), Andrea Martin (Juliette), Geoffrey Rush (King Bérenger), William Sadler (The Doctor) oraz Susan Sarandon (Queen Marguerite). Ethel Barrymore Theatre, 243 W. 47 St., koło Times Square.



Geoffrey Rush – świetna rola w *Exit the King* Eugène'a Ionesco

Fot. Nobby Clark

Fot. © 2009 Joan Marcus

DIANA POSKUTA-WŁODEK

Teatr w poszukiwaniu Słowackiego

W 200. rocznicę urodzin i 160 po śmierci wieszca znów mamy Rok Juliusza Słowackiego.

W przeszłości bywało, że rocznicowe wydarzenia wyznaczały kamienie milowe w recepcji poety. Dziś niestety o dystans do obchodów mierzonych "rymującymi się" dziewiątkami w datkach (1809-1849-2009), wysokością grantów, liczbą prezentacji maturalnych i wejść na strony internetowe pełne opracowań, od których nawet profesor Pimko by osiwił. Tymczasem Słowacki, który wielkim poetą był, po prostu nie istnieje, dawno umarł i na Wawelu pogrzebion. Słowacki – wskrzesiciel narodowego ducha i patron czynu natchnionego także, jak się wydaje, wykonał już swoje zadanie. Dziś obchodzić może tylko Słowacki zadający Polakom niewygodne pytania, przeświadczenia ich grzechy i skarlania, uwznioślający polskość celnością metafory oraz Słowacki uniwersalny – historiozoficzny i mistyczny, uzupełniający deficyt tajemnicy we współczesnym świecie. Takiego poetę odnaleźć może już chyba tylko badacz literatury – dla akademickich znawców, a teatr – dla każdego, kto zechce kupić bilet.

WŁAŚNIE W TEATRZE TKWISZANSA zatrzymania wieszca w świadomości zbiorowej. Jest jeszcze szkoła, ale za chwilę Słowacki niemal przestanie w niej istnieć. Teraz w kanonie lektur są fragmenty *Balladyny*, *Kordiana* i wybrane liryki. W nowym, który ma wejść w życie w 2012 roku, gimnazjaliści będą poznawać *Balladynę*, a licealiści trochę wierszy. *Kordiana* pozostanie tylko w programie licealnym rozszerzonym, zamiennie z *Nie-Boską komedią*. Przeciętny polski inżynier, lekarz, informatyk, biznesmen nie

będzie już tego utworu znał, a szczyt Mont Blanc będzie mu się kojarzył co najwyżej z wypadem na narty do Chamonix u podnóża góry.

Za życia poety wystawiono tylko jeden jego dramat i nie ma pewności, czy Słowacki o tym wiedział. *Mazepę* przygotowali... Węgry. Prapremiera odbyła się w budapeszteńskim Teatrze Narodowym kilka miesięcy przed wybuchem Wiosny Ludów – 13 grudnia 1847 roku. Na afiszu pojawiło się nazwisko Gyula Slovacki, a znakomity reżyser i aktor Gabor Egressy, zafascynowany postacią Wojewody, postanowił wystawić utwór na swój beneficjusz. Przekład prozą, wykonany na podstawie pozbawionego walorów artystycznych tłumaczenia niemieckiego, nie wzbudził zainteresowania. Po premierze zagrano tylko jedno przedstawienie, a za życia autora *Mazepę* obejrzeliby widzowie jeszcze dwóch węgierskich miast. Słowacki umarł więc w przeświadczeniu, że pisał dzieła przeznaczone do lektury. Nawet jeśli marzył o ich wystawieniu, musiał pogodzić się z opinią o niesceniczości.

W TAKIM PRZEKONANIU POZOSTAWIŁ SWYCH WSPÓŁCZESNYCH.

Trzeba było prawie 50 lat, by tę pewność obalić. Początkowo Słowacki był postrzegany jedynie jak autor dramatów historycznych i baśniowych. Stopniowo, najpierw w *Mazepie*, potem w *Marii Stuart*, *Beatrix Cenci*, *Księżu Niezłomnym* wg Calderona, *Fantazym*, *Horsztyńskim*, w *Balladynie* i *Lilli Wenedzie* zaczęto odnajdywać kwestie coraz większego kalibru: moralności władzy, wcielenego zła tyranii, tragizmu historii, determinizmu ludzkich namiętności. W czasach rozbiorów to było wszystko, co można było pokazać w teatrze. O pojawieniu się na scenie *Kordiana* – buntownika skradającego do komnat cara się z zamiarem zabójstwa – nie było co marzyć. Nie przy-



Plakat do prapremiery *Kordiana* Juliusza Słowackiego

padkiem pierwsze dramaty Słowackiego wystawiono w Galicji, gdzie cenzura była najłagodniejsza. Od 1851 roku przez ponad dziesięć lat na afiszach pojawiał się jedynie *Mazepa* – w Krakowie, potem we Lwowie. Także w pozostałych zaborach zagrano ten dramat jako pierwszy – w Poznaniu i w Lublinie.

Dramaty Słowackiego uznano za bardzo atrakcyjne dla teatru. Świetnie zbudowane, pełne konfliktów i zwrotów akcji, podobały się publiczności. W po szekspirowsku skonstruowanych postaciach odnajdywano materiał na wielkie role. Kierujący krakowskim teatrem Stanisław Koźmian chętnie wystawiał Słowackiego dla swej życiowej partnerki Antoniny Hoffmann. To ona, oraz jej wielka rywalka Helena Modrzejewska, stworzyły najpiękniejsze kreacje postaci kobiet w dramatach Słowackiego tamtej epoki. O *Balladynie* i *Beatrix Hoffman*, o *Marii Stuart* i *Gopłanie Modrzejewskiej* historycy teatru pamiętają do dziś. Podobnie jak o wielkich rolach Bandy, Rychtera, Rapackiego, Leszczyńskiego. Wszyscy oni, grając Słowackiego dużo i dobrze, ukazywali widzom rzecz bardzo ważną: nadzwyczajne piękno języka. W tamtych czasach siła słowa i moc poezji znaczący przetrwanie, budowały narodową tożsamość i kulturą niezależność. Słuchając w teatrze Słowackiego ludzie niejednokrotnie płakali, a po powrocie do domu czytali *Kordiana* i marzyli o wolnej Polsce.

Otóż właśnie: czytali. Powszechne przekonanie o służebnej roli te-

atru wobec literatury, o obowiązku ilustrowania każdego poetyckiego obrazu i dosłownego traktowania zmienności miejsc akcji paraliżowało próby uscieniczenia dramatów. Bo jak zilustrować duchowe wloty romantycznych bohaterów, jak pokazać duchy i anioły, jak na scenie zbudować szczyt Mont Blanc i w sekundzie przenieść bohatera przed Zamek Królewski w Warszawie? Stereotypy takiego myślenia odważył się przełamać dopiero Józef Kotarbiński w krakowskim Teatrze Miejskim. Obejmując teatr po swym wielkim poprzedniku Tadeuszu Pawlikowskim, na inaugurację swej dyrekcji zagrał *Złotą Czaszkę*, a trzy miesiące później dał pierwszą polską inscenizację *Kordiana*. Był rok 1899 i właśnie wypadła cicha, bo obchodzona w niewoli, rocznica urodzin i śmierci wieszca.

KOTARBIŃSKI PRZEŁAMAŁ OPÓR TEATRU. "Miałem i mam to przekonanie – twierdził – że gdy wielka poezja wstępuje na deski teatralne, wtedy w świecie szminek, kulis i kinkietów dzieje się chwila osobliwa – odbywa się jakieś misterium twórczego ducha". Co nie znaczy, że nie czynił ustępstw. Ingerując w tekst *Kordiana*, musiał brać pod uwagę przede wszystkim możliwości teatru. Obniżeniem kosztów tłumaczył łączenie scen, prawami dramaturgii – usunięcie m.in. *Przygotowania*, bajki o Januku i sceny londyńskiej, a także skrócenie kluczowego monologu. Z przyczyn cenzuralnych, by nie

drażnić Kościoła, zrezygnował ze sceny papieskiej. Usunął szpital wariatów. By było taniej, w scenie na placu Saskim poproszony do współpracy Włodzimierz Tetmajer na rozpiętych płótnach namalował kilka szeregów żołnierzy. "Przed wojskiem malowanym – wspominał Kotarbiński – umieściliśmy dwa pełne szeregi umundurowanych statystów, tak że liczba wojska robiła odpowiednie wrażenie". Ale największe wrażenie zrobił odtwórca tytułowej roli Michał Tarasiewicz – aktor o melancholijnej urodzie, doskonale podający poetycki tekst. Inszenizacja, mimo obaw ("Będziemy grali co najwyżej trzy razy – dla honoru domu!" – ostrzegał sekretarz teatru), odniosła sukces. Utorowała drogę na scenę niegranym dotąd arcydziełom innych poetów romantycznych – w 1901 roku teatr krakowski wystawił *Dziady*, w 1902 *Nie-Boską komedię* i fragment *Irydionu*. Po raz pierwszy sięgnięto też po późne, niezwykle trudne, mistyczne dzieła Słowackiego: na początek po wspomnianą *Złotą Czaszkę*, *Sen srebrny Salomei* i *Księża Marka*. Wkrótce miały je w swoim repertuarze niemal wszystkie polskie teatry.

Teatr zmienił spojrzenie na Słowackiego, a pierwsze inscenizacje jego dzieł – i dzieł innych romantyków – zmieniły teatr. Pojawiły się na krakowskiej scenie w szczytowym momencie Młodej Polski – w tym samym czasie odbywały się tam historyczne prapremiery Wyspiańskiego, w tym *Wesela* i *Wyzwolenia*. Poetyckie słowo, bohater reprezentujący wzniosłe idee, podlegająca prawom wyobraźni luźna konstrukcja romantycznych i modernistycznych dramatów sprawiły, że teatr krakowski, przekładając tę trudną literaturę na język sceny, stanął w pierwszych latach XX wieku na czele ówczesnej awangardy, dając początek współczesnej polskiej reżyserii, scenografii, aktorstwu. Przekazywanie czystej idei, duchowych przesłania, posługiwanie się przez aktorów szeptem, pauzą, wewnętrzną rozredganie i napięcie – to nowy wówczas, wymuszony między innymi przez dramaty Słowackiego, sposób gry. Przędowali w nim Tarasiewicz, Siemaszkowa, Wysocka, Solska, Sosnowski, Kamiński.

W SPOSÓB FENOMENALNY W DRAMATACH SŁOWACKIEGO dawne i nowe techniki gry łączył Solski. To za jego dyrekcji w roku 1909 odbył się w Krakowie pierwszy przegląd teatralnych inscenizacji dramatów poety. Solski pokazał *Księża Niezłomnego* i *Beatrix Cenci* – wystawiane dwa lata wcześniej spektakle z dekoracjami Karola Fryca, wkrótce jednego z największych polskich scenografów, a także powierzył przygotowanie scenografii do *Lilli Wenedy*, *Balladyny* i *Snu srebrnego Salomei* innemu debiutantowi, Franciszkowi Siedleckiemu. To, co zaprezentował ten młody artysta (czarne kotary i podesty, dekoracje zredukowane do minimum), sprawiło, że został uznany za jed-



Michał Tarasiewicz – pierwszy *Kordjan* na polskiej scenie, Kraków 1899 r.

nego z największych nowatorów polskiej plastyki teatralnej. A sam cykl przedstawień, z pozoru okolicznościowy, okazał się jednym z ważniejszych wydarzeń kulturalnych epoki. Pozostał ślad tamtych wydarzeń – w dniu rozpoczęcia rocznicowych obchodów 16 października 1909 r. nadano Teatrowi Miejskiemu w Krakowie imię Słowackiego – za szczególne zasługi tej sceny dla twórczości poety.

Na fundamencie teatru młodopolskiego wyrastały późniejsze wielkie inscenizacje: w okresie międzywojennym monumentalne przedsta-

wienia *Kordiana* w reżyserii Schillera, plenerowe, pokazywane tysiącom widzów w całej Polsce spektakle *Księcia Niezłomnego* Osterwy i jego wielkie role w *Mazepie*, *Fantazym* i *Kordianie*. W czasie II wojny światowej i tuż po niej na idei *Króla-Ducha* Mieczysław Kotlarczyk zbudował Teatr Rapsodyczny. Po wojnie najsilniej zapisały się inscenizacje *Kordiana* – warszawska Axera i krakowska Dąbrowskiego, genialne spektakle Grotowskiego – *Księżę Niezłomny* i rozgrywający się w szpitalu wariatów *Kordian*, *Fantazy* Swinarskiego, Hanuszkie-

wicza *Balladyna* na motorach, dojmująco racjonalistyczne inscenizacje Jerzego Golińskiego i Krystyny Skuszanki.

PRZEZ LATA SŁOWACKI BYŁ FILAREM REPERTUARU NARODOWEGO. Dziś stracił wyjątkowy status. Jest traktowany zwyczajnie, jak autor tekstu – materiału do teatralnej wypowiedzi. Stał się formą, w którą wlewa się dowolną estetykę. Na scenie jego utwory są traktowane tak samo, jak dzieła Szekspira i Ajschylosa, dramaty Koltésa i Sary Kane, dziennikarskie reportaże z Iraku i internetowe blogi. Są po prostu używane, z różnym skutkiem – i inaczej już nie będzie. Młot dawno ustąpił przed automatyzmem teatru. Widać to chociażby na przykładzie inscenizacji *Kordiana* z ostatnich lat – Macieja Sobocińskiego w Teatrze Polskim we Wrocławiu, Pawła Passiniego w warszawskim Teatrze Polskim, Janusza Wiśniewskiego w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie i kilku innych. W 2005 roku Stary Teatr w Krakowie zorganizował festiwal "re_wizje/romantyzm", podczas którego młodzi twórcy interpretowali tę literaturę na nowo, po swojemu. Najlepsza propozycja przeglądu, czyli *Ksiądz Marek* w reżyserii Michała Zadary – spektakl świeży i przenikliwy – udowodnił, że Słowackim można wciąż wiele powiedzieć – na przykład na temat polskiej ksenofobii. Okazuje się, że w czasach postmodernistycznych rewizji, reinterpretacji i dekonstrukcji, gdy przekaz medialny zastępuje kontakt z dziełem, a cena romantycznych postaw spada, szansę na istnienie ma tylko Słowacki dotkliwy i ironiczny. Niepokojąco współczesny.

Teatralne poszukiwania takiego Słowackiego, może niezbyt gorliwe, ale trwają. Pod koniec kwietnia br. w krakowskim teatrze jego imienia odbyła się premiera dramatu rzadko granego – *Beatrix Cenci* w reżyserii Macieja Sobocińskiego. I choć oceny recenzentów są chłodne, to przecież Słowackiego nigdy za dużo – szczególnie na tej scenie. □



Ludwik Solski w *Złotej Czaszce*

NOTKI

Wernisaż wystawy obrazów Franka Kulona odbędzie się w sobotę 23 maja o godzinie 7 wieczorem w FCK Art Studio w Parkville (596 Aden Hill Road). Szczegółowe informacje: www.fkulon.com.

Na projekcję *Rejsu* Marka Piwowskiego zaprasza we wtorek 27 maja o godzinie 7:15 wieczorem Polska Fundacja Kulturalna w Clark (177 Broadway). Wstęp wolny, dodatkowe informacje: www.polishcultural-foundation.org.

Wojciech Tochman, autor książki reporterskiej z Bośni *Jakbyś kamień jadła*, wydanej w ub. roku w USA (*Like Eating a Stone: Surviving the Past in Bosnia*, Atlas & Co., New York, 2008), weźmie udział w dyskusji "Literary Reportage: The Forensic of Crisis", która odbędzie się w środę 27 maja w księgarni Idlewild Books (12 West, 19 Street, Manhattan) o godzinie 7 wieczorem. Pozostali uczestnicy dyskusji, któ-

rą poprowadzi Marcela Valdes, redaktorka działu książek *The Washington Examiner* – Francisco Goldman, autor *The Art of Political Murder: Who Killed tje Bishop?* i Jonathan Brent, autor *Inside the Stalin Archives: Discovering the New Russia*. Spotkanie, którego współorganizatorem jest Instytut Kultury Polskiej w Nowym Jorku, zapowiada prezentację Polskiego Instytutu Książki na targach Book Expo America (Javits Center, stoisko nr 2423), gdzie Wojciech Tochman będzie podpisywał swoje książki w sobotę 29 maja od godz. 3 do 3:30 ppoł. Wstęp tylko dla osób posiadających wejściówki na targi. Szczegółowe informacje: www.PolishCulture-NYC.org.

Zespół jazzowy Komeda Project wystąpi w siedzibie Konsulatu Generalnego RP na Manhattanie (233 Madison Ave. przy 37 St., Jan Kariski Corner) w czwartek 28 maja o godzinie 7:30 wieczorem w specjalnym koncercie upamiętniającym 40. rocznicę śmierci Krzysztofa Komedy. Liczba miejsc ograni-

czona. Wstęp wolny, ale do 27 maja należy zgłosić chęć przyścia na koncert; tel. (646) 237-2114; faks: (646) 237-2105, www.Polish-ConsulateNY.org.

Detroit Concert Choir pod dyrekcją Gordona Nelsona zaprasza na koncert "Slavic Voices", który odbędzie się 31 maja w Sweetest Heart of Mary Church (4440 Russell St.) w Detroit o godzinie 3 ppoł. W programie pieśni polskie, rosyjskie i ukraińskie, w tym kościelne. 80-osobowy chór wykona utwory Szymanowskiego, Czernokowa, Swiridowa i Rachmaninowa. Osobną częścią koncertu będą polskie średniowieczne hymny, kompozycje renesansowe, ludowe aranżacje pieśni i współczesne utwory muzyki kościelnej, które zostaną wykonane pod batutą Piotra Szawieli. Solistami będą: tenor James Moore jr., Michele Marszalkowski (sopran) i Marko Farion (bas). Ceny biletów – 20 dol., seniorzy 18 dol., młodzież 10 dol. Rezerwacja i szczegółowe informacje tel. (313) 882-0118.

R/JK

ŻABKĄ PRZEZ ATLANTYK

Czy mogę panią pogłaskać?



Marek Kusiba

Poeta Roman Sabo z Vancouver wybrał się w kolejną podróż do k-raju dzieciństwa, skąd nadsyła radosne emailie, głaszcząc moją duszę pięknymi opisami ziemi ojczystej. Nie podróżuje po kraju z etnografem Kolbergiem, a z psychologiem, profesorem Głaskiem, którego spotkał w ciągu relacji Katowice – Białystok. Sabo utyskiwał na powszechną nieżyczliwość, opowiadał Głaskowi o "połajankach, mentalnych szturchnięciach, pouczeniach", które go spotkały "na dworcach, w urzędach, czasem w sklepach: a to bilonu raz za mało, innym razem za dużo, a to całego wianka kiełbasy na jedną osobę nie chcę kupić, a pani sklepowej połowy sprzedać się nie opłaca, a to zamówienie składam na kawę, wodę i ciastko naraz, kłopotu tym kelnerce przysparzając".

Profesor z kolei opowiedział mi o trudach związanych z próbami przekonania Polaków, że "czas najwyższy przystąpić do wdrażania w życie jego niezwykle prostej metody poprawiania obyczajów, która w stosunkowo krótkim czasie, może nawet jeszcze przed mistrzostwami Europy w piłce nożnej, przeobraziłaby rozjątrzone masy w osoby uduchowione, życzliwe ludziom, spokojne, domyte i uśmiechnięte". Metoda psychologa jest niezwykle prosta: "Każde nieodpowiednie zachowanie, przejaw chamstwa, agresji powinien być przyjęty krótkim, prostym, życzliwym pytaniem: czy mogę pana, panią pogłaskać?".

Właśnie, dlaczego metoda sprawdzona na kotkach i pieskach miałaby nie działać w odniesieniu do ludzi? W Szwecji wprowadzono przepisy, wedle których koty muszą być głaskane co najmniej dwa razy w ciągu doby. W szwedzkich mieszkaniach koty muszą mieć także miejsce do ostrzenia pazurków oraz osobne posłanie. Złamanie tych przepisów grozi wizytą inspektora ochrony zwierząt, a w cięższych przypadkach pozbawieniem wolności. Oczywiście właściciela zwierzątka.

Aż się prosi o wprowadzenie podobnego przepisu w odniesieniu do *homo sapiens*. Pierwszy, ważny krok już został uczyniony przez profesora Głaska: zaproponował stworzenie w Polsce trójek głaskarskich. Píše Sabo: "Trójki podróżując autobusami, pociągami, przebywając na zatłoczonych lotniskach, dworcach kolejowych (z wyjątkiem katowickiego, gdzie stopień stężenia ulatniającego się z moczu amoniaku wdychanego przez podróżnych zagraża ich zdrowiu i życiu) aplikowałyby głaskanie w celu zapobiegania aktom agresji".

Dla mnie rewelacja. Razem z Sabo (choć on o pięciolatkę młodszy) wywodzimy się z czasów trójek murarskich, odbudowujących stolicę i bijących rekordy na budowie Nowej Huty. Kto dziś pamięta Hankę Ruczajównę i jej kobicę trójkę murarską z filmu Leonarda Buczkowskiego *Przygoda na Mariensztacie*? Już bliższa jest nam postać Mateusza Birkuta z *Człowieka z marmuru* Andrzeja Wajdy, wzorowana na rekordziście murarskim z Nowej Huty Piotrze Ożańskim, pochodzącym z bliskiej nam z Sabo, a także Julianowi Przybosiowi, Rzeszowszczyzny. Przyboś poświęcił Ożańskiemu wiersz *Odchodzenie w niepamięć*, Wajda film, a radni z Krakowa nie zgodzili się nawet na plac jego imienia. Gorzej, bo Ożański najpierw został patronem placu na nowohuckim Osiedlu Willowym, ale uchwałę cofnięto w marcu na wniosek radnego Bartłomieja Gardy z PO, głosami PO i PiS. Ta decyzja to popis pogardy dla ofiary systemu z przodującej trójki murarskiej, wykorzystanej propagandowo i wyrzuconej na śmietnik historii PRL oraz wolnej RP. Jak tak dalej pójdzie, chorzy na polityczną poprawność krakowscy radni uchwalą uchwałę o rozebraniu domów zbudowanych przez murarzy Ożańskiego, a w krakowskich kinach zakażą wyświetlania *Człowieka z marmuru*.

Tym (bez)radnym może już tylko pomóc trójka głaskarska. Sabo: "Doznającym efektów głaskania przypominałby się uśmiech, miłe słowo, zachęcający gest, pomocna dłoń, spokojne i życzliwe drugiemu spojrzenie. Co więcej, popularyzując metodę głaskania wśród zimnokrwistych i zmianierowanych narodów zjednoczonej Europy, wywiązałybyśmy się wreszcie z postawionego nam przez wieszczów jako i papieża zadania uduchowienia Europy". Ludzie wszak dzielą się na "naturalnie głaszczących i naturalnie głaskanych"...

Klaskaniem, a nie głaskaniem, mając obrzękłe prawice lud polski woła teraz o czyny, o realizację polityki miłości. Oskar Kolberg w dziele *Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce* podał wiele cennych wskazówek na temat tego, jak spełnić życzenie doktora Sabo i profesora Głaska i zamienić rozjątrzonych malkontentów w osoby życzliwe, spokojne i uśmiechnięte. Sam profesor Głasek i poeta Sabo oraz ich polityka głaskania przez trójki głaskarskie mogą nie wystarczyć, by bliźnich ze sobą zbliznić i by rany polskie więcej nie porastały błoną wzajemnej Polaków dla siebie nieżyczliwości.

Dlatego uważam, że podobnie jak w Szwecji w odniesieniu do czworonogów, konieczna jest w Polsce ustawa o obowiązkowym głaskaniu dwunożnych – co najmniej dwa razy dziennie. Oby tylko nie pod włos...

Uważam, że podobnie jak w Szwecji w odniesieniu do czworonogów, konieczna jest w Polsce ustawa o obowiązkowym głaskaniu dwunożnych, co najmniej dwa razy dziennie...

DARIUSZ PAWLICKI

Przed oknem, przy stole

Wstał o wczesnej jak na siebie porze, bo już przed siódmą rano.

Siedząc przy stole kuchennym ustawionym pod oknem, jadł nieśpiesznie śniadanie. Zwracał przy tym baczną uwagę na unoszące się nad ziemią, pomiędzy pagórkami, październikowe mgły. Stopniowo stawały się one coraz bardziej postrzępione.

Roztaczający się za oknem widok był przez niego wielokrotnie studiowany w ciągu trzech lat. I to nie tylko dlatego, że był piękny. Łączyły się bowiem z nim wspomnienia. Dotyczyły nie tylko ostatnich lat, ale prawie całego jego życia. Ten widok, wbrew pozorom, nigdy nie był taki sam. Zmieniały się chociażby chmury. Także nadrzeczne trzcinny wyglądały każdego dnia inaczej. W zależności od siły wiatru, różnie były bowiem wygięte.

Razowiec, który upiekł wczoraj, bardzo mu smakował. Tak jak i miód lipowy, konfitura z czarnej porzeczki, biały ser. Z zielonego czajniczka dolewał do kubka herbatę. A wstając z łóżka był przekonany, że na śniadanie zje tylko kawałek chleba, ponieważ na więcej nie będzie miał już ochoty.

Nie miał teraz kłopotów finansowych. Ale gdyby nawet, nie byłoby to istotne wobec faktu, że miał znacznie poważniejszy problem. I przede wszystkim za jego przyczyną nie odrywał oczu od zaokiennego widoku.

Gdy skończył śniadanie, jeszcze przez pół godziny nie wstawał z krzesła. Potem umył naczynia i sztućce.

Po wyjściu na zewnątrz rozglądął się za swoim psem. I przypomniał sobie, że wczoraj wieczorem odprowadził go do kuzyna mieszkającego za lasem.

Obszedł dom dookoła. Dotknął gładkiej powierzchni kilku głazów narzutowych leżących pomiędzy starymi lipami. Szczególnie długo przyglądał się złotej reńce. Jabłka tej odmiany najbardziej mu smakowały. Dużo też czasu poświęcał pielęgnacji tego drzewa. Teraz było obsypane dorodnymi owocami.

“Niedługo trzeba będzie je zerwać – pomyślał. – Chyba że nie...”

Po powrocie do domu spakował niewielką torbę, przebrał się. Usiadł w kuchni przed oknem. Po dwudziestu minutach usłyszał warkot zbliżającego się samochodu. Spojrzał na zegar ścienny, po czym włożył płaszcz, wziął torbę i skierował się ku drzwiom.

25 marca 2008 r.



Fot. Dariusz Pawlicki

Trzy odstony

Przed siedmiu laty, pewnego wrześniowego popołudnia, jedli w kuchni obiad.

– Profesor nadjeżdża – powiedział Miłosz, który siedział twarzą do okna.

Andrzej natychmiast spojrzął za siebie.

Piaszczystą drogą pomiędzy zaoranym polem a łąką jechał na koniu sąsiad Miłosz. Postawny, siwobrody mężczyzna w tweedowej marynarce i sztruksowym kapeluszu. Wiedzieli że ma siedemdziesiąt trzy lata. W siodle trzymał się prosto. A ruchy jego ciała były zsynchronizowane z ruchami konia.

Profesor nie widział ich. Stół przy którym siedzieli, stał bowiem w pewnym oddaleniu od okna.

Jeździec minął dom i skierował się ku rzece.

Jedząc deser wymienili kilka uwag na temat profesora. Mówili o nim z sympatią. Bywali w jego domu, a on odwiedzał Miłosza, swego sąsiada.

*

Dwa lata temu, w listopadzie, umówiwszy się wcześniej, Andrzej zapukał do drzwi okazałego, drewnianego domostwa profesora. Kiedy otworzyły się, ujrzał w nich panią Zofię, gospodynię pochodzącą z Białorusi. Ale po minucie pojawił się sam profesor. Wymienili mocny uścisk dłoni, po czym usiedli przy

stole w dużej kuchni. Na kuchence elektrycznej został ustawiony czajnik z wodą. Profesor rzadko pytał, czy ktoś ma ochotę na herbatę. Wszystkich bowiem traktował jako miłośników tego napoju. Andrzej należał do nich. A wypicie filiżanki bądź szklanki herbaty w towarzystwie profesora zawsze było dla niego dodatkową przyjemnością.

– Proszę się częstować – powiedział gospodarz otwierając duże blaszane pudełko, do połowy wypełnione pachnącymi ciastkami. – To wypieki pani Zofii.

Pokryta zmarszczkami twarz profesora oświetlała lampa stojąca na stole. Był nieco przygarbiony, a jego ruchy cechowała pewna sztywność będąca wynikiem problemów z kręgosłupem.

– To kiedy widzieliśmy się ostatni raz? – zapytał Andrzej.

– Pięć lat temu.

– Pięć? Byłem prawie pewny, że trzy... Więc, aż przez pięć lat nie pojawiał się pan nad Czarną Hańczą...

– Tak, tyle ile minęło od śmierci mojego dziadka.

Rozmawiali popijając herbatę i jedząc ciastka. Następnie profesor zaprosił Andrzeja do swej pracowni. Kiedy tam się znaleźli, zaczął pokazywać, jak miał w zwyczaju, swoje najnowsze prace: rysunki tuszem, obrazy olejne, projekty scenograficzne. Wspomnił rów-

nież o trzech albumach opublikowanych w ostatnich dwóch latach; napisał do nich obszernie wprowadzenia i przygotował je od strony graficznej.

Gdy Andrzej zajął miejsce przy dużym biurku, aby obejrzeć albumy, profesor zaproponował ponowne wypicie herbaty. Przystał na to bez wahania. Tym bardziej że w obszernej pracowni panował chłód.

Herbatę pili siedząc przy oknach, przez które widać było nadrzeczne drzewa i zachodzące za nimi słońce.

*

Minęło dziesięć miesięcy i nastąpiła kolejna jesień. Była to od początku chłodna jesień i liście żółkły bardzo szybko.

Tym razem profesor otworzył drzwi osobiście. Był w kurtce, a na głowie miał tweedowy kapelusz o wąskim rondzie.

Uścisk jego dłoni nie był taki mocny.

– Miałem właśnie zajrzeć do koni – wyjął się. – Może pójdzie pan ze mną?

Idąc przez kilka minut za profesorem, zauważył, że zdecydowanie wolniej się porusza i jest bardziej przygarbiony.

Gdy tylko weszli do kamiennej stajni, powitało ich rżenie. Przesuwając się od boku do boku gładzili końskie łby, klepali zwierzęta po szyi.

– Napoję je – powiedział Andrzej, gdy zobaczył, że profesor podchodzi do stojących przy drzwiach wiader z wodą.

– Bardzo dziękuję.

Gdy wychodzili ze stajni, profesor, z błyskiem w oczach, powiedział:

– Chciałbym panu pokazać, co mnie teraz szczególnie zajmuje... Zabiera przy tym zarówno czas, jak i pieniądze.

Zamyślił się na chwilę, po czym dodał:

– Tego pierwszego mam już bardzo niewiele. Z tym drugim również nie jest najlepiej.

Dochodzili do białego murowanego domu przeznaczonego dla gości, gdy profesor spojrział na Andrzeja i rzekł:

– Buduję galerię.

– Energii to panu nie brakuje – stwierdził z podziwem Andrzej.

– Trzeba coś zrobić.

Budowla była niewielka. Pokrywał ją dach z wiórów. Ale w środku nie było jeszcze tynków i podłóg.

– Wyobrażam sobie – powiedział profesor – że będzie to miejsce służące celom wystawienniczym, koncertom, prelekcjom. Rzecz jasna, będzie to skromna działalność...

– Skromna na początku, a potem, stopniowo, intensywniejsza...

– Gdy mnie już nie będzie – zauważył cicho profesor. Po czym spojrzął na Andrzeja, lekko uśmiechnął się i powiedział:

– Ale póki co, zapraszam na herbatę.

1-3 czerwca 2008 r.

POLONIKA

● Zmarły w styczniu 2007 r. Ryszard Kapuściński został pierwszym polskim autorem, którego twórczość została wydana w serii Klasyki Światowej Meridiani największej włoskiej oficyny Mondadori. Edycję opracował prof. Silvano De Fanti, kierujący katedrą języka, literatury i przekładu na Uniwersytecie w Udine.

W tej serii do tej pory ukazało się ok. 200 pozycji, wśród nich m.in. dzieła Dantego, Szekspira, Kafki, Joyce'a, Manna, Prousta, Marqueza i Hemingwaya. Kapuściński został nie tylko pierwszym polskim autorem wydanym w tej serii, ale w ogóle pierwszym dziennikarzem. W tomie, liczącym 1629 stron znalazły się m.in. *Cesarz*, *Szachinszach*, *Imperium*, *Heban*, *Podróże z Herodotem*, fragmenty z *Wojny futbolowej* i pięciu *Lapidariów* (większość po raz pierwszy publikowana po włosku) oraz wszystkie wiersze. Instytut Książki

● Teatr Provisorium i Kompania "Teatr" wystąpili gościnnie w Czechach z nową inscenizacją *Emigrantów* Sławomira Mrożka w reż. Witolda Mazurkiewicza. Przedstawienia grano w Ołomuńcu i Pradze w języku polskim z napisami w języku czeskim. e-teatr

● W czerwcu podczas 12. Szanghajskiego Festiwalu Filmowego jury pod przewodnictwem Danny'ego Boyle'a oceni 16 filmów ubiegających się o Złotą Czarę. Szansę na nagrodę ma Maciej Pieprzyca, który pokaże swoje *Drzazgi*. filmweb

● W niecałe dwa miesiące po triumfalnym recitalu w Paryżu Rafał Blechacz ponownie porwał francuskich melomanów. Pianista zagrał gościnnie z Francuską Orkiestrą Narodową w programie złożonym z dzieł francuskich kompozytorów. Brawurowe wykonanie *II koncertu na fortepian i orkiestrę* Saint-Saënsa zakończy-

ło się burzą braw i dwukrotnym bisem, na który Blechacz wybrał swojego ulubionego Chopina. Publiczność, wśród której był reżyser Roman Polański, długo nie pozwoliła wirtuozowi zejść ze sceny.

● Seria *What the Polish Have Given to the World* w opracowaniu graficznym Grażki Lange, z ilustracjami Moniki Hanulak, Grażki Lange i Anny Niemierko, z tekstem Małgorzaty Strzałkowskiej, wydana przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, zdobyła jedną z dwóch głównych nagród Międzynarodowych Targów Książki Artystycznej w Seulu. Instytut Książki

● Na koncercie w Paryżu Piotr Anderszewski zagrał utwory ze swojego najnowszego albumu zarejestrowanego w Carnegie Hall. Urodzony w Polsce pianista o międzynarodowej sławie zaprezentował dzieła bliskich sobie od lat kompozytorów.

Recital rozpoczął się od mazurków Chopina, po których nastąpiły utwory Jana Sebastiana Bacha, Leosza Janaczki i Ludwiga van Beethovena. Po owoacji, na życzenie publiczności, pianista dwukrotnie bisował. Zagrał kompozycje Bacha i Bartóka. Anderszewski zapowiedział, że w czerwcu przyjedzie na koncert do Łodzi.

● W Ufie, stolicy Baszkirii – republiki w Rosji na przedgórzu i stokach Uralu Południowego – zakończyły się Dni Kultury Polskiej, w programie których znalazły się m.in. koncert polskiej muzyki klasycznej w wykonaniu kwartetu smyczkowego miejscowej filharmonii, prelekcje krajoznawcze, wystawa "Polacy w historii Baszkirii" i degustacja dań kuchni polskiej.

● W Arts Club w Waszyngtonie odbyło się czytanie sceniczne z elementami inscenizacji teatralnej małego znanej sztuki Witolda Gombrowicza *Historia*

w przekładzie Allena Kuharskiego w wykonaniu zespołu teatru Scena. Sztukę reżyserował Robert McNamara.

● Amerykańska publiczna telewizja PBS pokazała trzyodcinkowy film dokumentalny o II wojnie światowej, zrealizowany przez znanego historyka i dokumentalistę Laurence'a Reesa, ujawniający kulisy poświęcenia niepodległości Polski przez aliantów w celu zachowania sojuszu z ZSRR.

W dokumencie, zrealizowanym w koprodukcji z BCC i przy współpracy z Polską, wykorzystano mało znane materiały, m.in. z otwartych dopiero w latach 90. archiwów sowieckich. Wojna została ukazana z niemal nigdy nie spotykanej w USA polskiej perspektywy. Obraz skomponowano z autentycznych zdjęć i materiałów filmowych oraz rekonstrukcji wydarzeń w wykonaniu aktorów. Wszystkie zdjęcia kręcono w Polsce.

PAP/R/EK

ANDRZEJ OLAS

Na placu Unii Lubelskiej

Lotnik leżał na prawym boku. W wystającej z trawy ręce przyciskał do lewego boku ułamane śmigło z marmuru. Obok, uwiązane do śmigła, pasły się dwa wylinięte wielbłądy koloru kawy z mlekiem. Niewidzące oczy lotnika ogarniały zachodnią część placu Unii Lubelskiej. Na pierwszym planie stał upstrzony u dołu kłębami wielbłądziej wełny postument pomnika, dalej po lewej wypalona mokotowska rogatka, a na prawo budynek straży pożarnej.

Była wiosna roku 1945. Mniej niż rok minął od wypowiedzenia zabójczych słów: "Jutro o piątej po południu rozpocznie pan działania", a jeszcze mniej od momentu, kiedy któregoś dnia powstania lotnik został strącony z postumentu swojego pomnika.

Tej wiosny, po powrocie do Warszawy, staliśmy się z bratem dziećmi warszawskich ruin. W wędrówkach po Mokotowie klatki schodowe prowadziły nas do nieistniejących pięt, przeszliśmy też, odczytując napisy, pierwszą lekcję cyrylicy. Okupacja przyzwyczała mnie do nędzy, zachowywałem się bez troski, choć od czasu powstania często śni mi się goniący mnie esesmani. Czasem we śnie ratował mnie olbrzymi ptak podobny do Ptaka Roka z opowieści Sindbada Żeglarza, kiedy indziej budziłem się przekonany, że ginę. Kilkakrotnie Ptak uratował mnie także na jawie, jak kiedy w obozie w Pruszkowie okrył mnie swoimi skrzydłami i uczynił niewidzialnym dla esesmanów.

Osobliwością rlna placu Unii był nietknięty zniszczeniem wspomniany gmach straży pożarnej. Przed nim, na posterunku, obok znajdującego się na wyciągnięcie ręki i starannie wypolerowanego dzwonu, trwał postawny strażak dyżurny. Miał błyszczący srebrem, grzebieniasty hełm, do którego nie wrywała się nawet setka wymiętych rogatywek berlingowców. Ubrany był w dobrze utrzymany granatowy mundur z błyszczącymi guzikami. U szerokiego skórzanego pasa wisiał kształtny toporek. A na dodatek na lewo od budki strażaka stał czerwony, gotowy do akcji wóz strażacki.

Straż pożarna nie była jedyną atrakcją placu. Na otoczonym wyprutym torowiskiem tramwajowym okrągłym trawniku na środku placu – tam, gdzie lotnik, wielbłądy i postument – stał duży, trzymasztowy

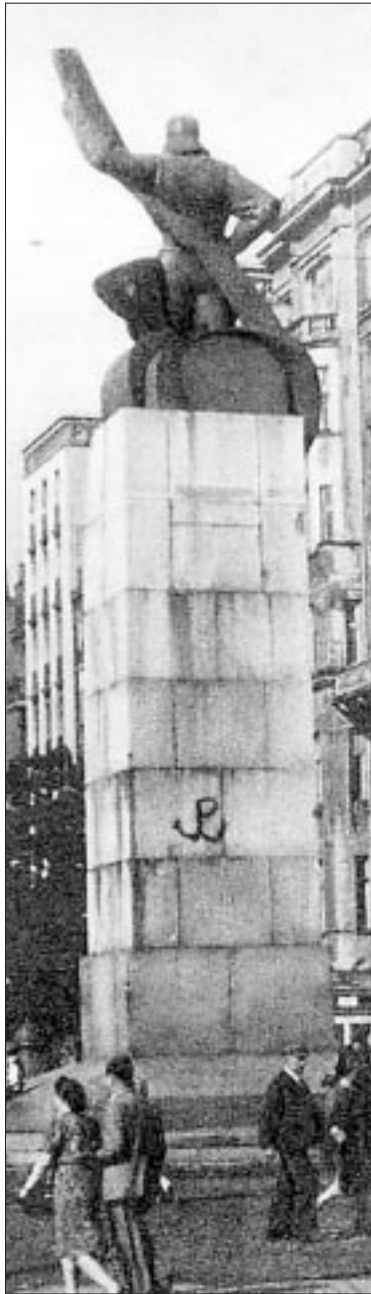
namiot. Nad namiotem, rozpięty na dwóch drągach, wisiał napis: "WIELKI CIRKUS DLA SWOBODNOJ POLSZY". Przed namiotem stał zwykły gazik z interesującą, bo rosyjską rejestracją. Wielbłądy miały długie, żółte zęby i podrażnione płuły z wysoka.

W tym czasie zarabiałem, sprzedając gazety na ulicach Mokotowa i często się na placu zatrzymywałem. Zaczynałem od strażaka i wozu strażackiego. Ani wóz strażacki, ani strażak nie zwracali na mnie – ośmioletniego, przygarbionego mikrusa – najmniejszej uwagi, nawet wówczas, gdy towarzyszył mi Ptak. Po strażaku i wozie był namiot i wielbłądy.

Idąc dalej, zatrzymywałem się na Wiśniowej przy wypalonych wrakach niemieckiej tankietki i wozu pancernego. Wieżyczką tankietki wciąż można było obracać, kręcąc zacinającą się korbką – należało przy tym symulować strzały: ta, ta, ta...

Z bratem i z kolegami z podwórka zajmowaliśmy się wyszukiwaniem i detonowaniem wszystkiego, co strzelało i wybuchało. A było tego dużo. W jednym z domów zrujnowanej Marszałkowskiej, w okolicy Litewskiej, kryły się skarby. Pod opadłymi stropami pięciu pięt budynku zasypany był magazyn sklepu z bronią myśliwską. Któregoś pięknego, majowego dnia wygrzebałem tam z gruzu trzy śrutowe naboje do dubeltówki. Z cennym znaleziskiem w ręce szedłem, już spóźniony, do pracy – do rozdzielni w drukarni *Życia Warszawy* na Polną. Po drodze rozważałem, jak daleko doleci śrut, jak głośne będą wybuchy, czy może da się ustrzelić gołębia. No i jak odstrzelić naboje bez dubeltówki. A może rozpaść ognisko we wraku tankietki i wrzucić tam naboje – pancerny na pewno wytrzyma. Ale w tankietce nie ma gołębia. Miałem więc dużo do myślenia, gdy stanąłem obok strażaka, aby pogapić się na błyszczący chromami wóz.

– Co tam masz w ręku? Dawaj – strażak pochylił się nade mną, chwycił mnie za ramię, a odbity od jego hełmu promień słońca uderzył mnie w oczy. Wiszący u pasa strażaka srebrny toporek był na wysokości mojego czoła. Na tyle, na ile mogłem, odwróciłem się od niego i cofnąłem rękę z nabojami za siebie. Zwrócony byłem twarzą do wypalanej rogatki.



Pomnik Lotników – zdjęcie z okresu wojny

Tylko Ptak mógł uratować moją zdobycz. Ale czy zechce? W czasie powstania, kiedy wołałem o jego pomoc, nie przyszedł i nie ocalił pana Pruskiego, kiedy esesmani prowadzili go na rozstrzelanie.

Nad rogatką zobaczyłem na niebie czerwona rakieta. Wskazałem ręką: – Tam! Czerwona rakieta!

Strażak, przytrzymując mnie, odwrócił się w stronę rogatki. Próbowaliśmy uwolnić się z jego uchwytu, gdy usłyszałem strzały. Przed cyrkowym namiotem strzelał z peppy sowiecki żołnierz. Lufa broni podniesiona była wysoko w powietrze. Nad rogatką ukazywały się czerwone, zielone i białe rakiety. Na gmachu drukarni zawył syrena. Strażak puścił mnie i chwycił za sznur dzwonu alarmowego. Odbiegłem kilka kroków w stronę rogatki: dziękuję ci Ptaku, że przyszedłeś mi z pomocą.

Od Puławskiej biegł z pistoletem w ręku oficer od Berlinga, krzyżąc: – Koniec wojny! Wolność. Hitler nie żyje!

Przestraszone strzelaniną wielbłądy szarpały marmurowym śmigłem, a lotnik, wciąż obejmując śmigło, kręcił przecząco głową, tak, jakby mówił:

– Nie, nie, nie.... Tyle śmierci, a przecież jeszcze nie wolność. □

Wojna literacko-filmowa

► 2 wybitnych postaci polskiej literatury (Jerzy Pilch) i akademickiej humanistyki (Zofia Mitosek). Utwór po pewnym czasie znalazł się nawet w gronie utworów wybieranych do prezentacji maturalnych. Otwartą kwestią pozostały natomiast możliwości zdyskontowania sukcesu książki w ramach innych dziedzin artystycznych. W 2003 r. Agnieszka Lipiec-Wróblewska przygotowała dla Teatru Wybrzeże teatralną adaptację utworu, z muzyką znanego polskiego zespołu rockowego Cool Kids of Death. Ale największe nadzieje i zarazem obawy towarzyszyły planom przeniesienia dzieła na duży ekran.

PIERWSZĄ OSOBĄ KOJARZONĄ Z PROJEKTEM EKRYNIZACJI był Jan Jakub Kolski. Twórca słynący ze stonowanego kina małych prowincji wydawał się chyba ostatnim reżyserem, jakiego można sobie wyobrazić przy okazji adaptacji krzykliwej powieści nastolatki. Dlatego wielu odetchnęło z ulgą, gdy na stołku reżyserskim zastąpił go Xawery Żuławski. Ulgę wynikała głównie z faktu, iż syn Andrzeja Żuławskiego swoim filmowym debiutem *Chaos* (2006) manifestował wrażliwość bliską tonacji utworu Masłowskiej.

Scenariusz przygotowała sama autorka, mająca już za sobą doświadczenia z dramaturgią. Postarała się zachować integralność języka powieści, nie wprowadziła znaczących zmian w kreacji świata przedstawionego. Żuławski junior stanął przed wielkim wyzwaniem ożywienia na ekranie wielopoziomowej rzeczywistości, gdzie realia blokierskiej subkultury przenikają się z intymnością piszącej powieść maturzystki.

Spore zaskoczenie wywołała zasadnicza decyzja dotycząca obsady, tj. aby rolę Silnego zagrał Borys Szybc. To dla wielu widzów postać kojarzona albo z kinem komercyjnym głównego nurtu, albo telewizyjną rozrywką. Zapomina się o jego zdolnościach aktorskiej mimikry, które objawił np. w filmowej *Symetrii* Konrada Niewolskiego (2003) czy teatralnym *Procesie* Kafki (2008, reż. Maciej Englert, Teatr Współczesny w Warszawie). Rola Silnego umożliwiła mu znaczącą zmianę swego emploi. Obok niego Żuławski postawił na obiecujące młode aktorki: Sonję Bohosiewicz, Marię Strzelecką i Romę Gąsiorowską, ale przede wszystkim postanowił, że na ekranie pojawi się sama Dorota Maślowska.

Przy stosunkowo niewielkim budżecie (4 miliony złotych) praca nad ekranizacją *Wojny...* była starannym i czasochłonnym procesem. Jeszcze przed realizacją całość filmu została rozrysowana na tzw. storyboardach. Miesiąc trwały próby aktorskie, dwa tygodnie – ćwiczenia kaskaderskie. Sam Szybc w okresie trzech miesięcy przygotował do roli Silnego codziennie odbywał dwugodzinne treningi siłowe, a co trzy godziny przyjmował specjalne posiłki. Na czas produkcji cała ekipa stała się swoistą komuną, gdzie prócz egzystencjalnej komitywy panował swobodny obieg myśli i pomysłów.

ZESPOŁOWE STARANIA PRZYNIOSŁY DZIEŁO WYJĄTKOWE jak na warunki polskiej kinematografii: zwarte w przekazie, misterne pod względem konstrukcji i dopieszczone realizacyjnie. Pod względem technicznym jest to rezultat doskonałego porozumienia pomiędzy reżyserem a operatorem Marianem Prokopem (*Bandyta, Pestka, Pożegnanie z Marią*). Film składa się z dynamicznie montowanych ujęć, które poprzez teledyskową rytmikę oraz płynne przejścia wprowadzają widza w stan wizualnego ukojenia. To wrażenie wzmacniają wyrafinowane efekty specjalne, odważnie trawestujące *Matrixa* czy horrory typu *gore*.

Formalna maestria filmu powinna uspokoić tych, którzy nie wyobrażali sobie przeniesienia prozy Maślowskiej na duży ekran. Żuławski bez wątpliwości nakręcił dzieło przemawiające sugestywnym kalejdoskopem obrazów, udało mu się też uniknąć nużącej monotonii monologów na ekranie. Wątpliwości na pewno wzbudzi jednak wymowa filmu. Zwłaszcza że werbalna drastyczność nieco odstręcza odbiorcę od poszukiwań ukrytego sensu.

O czym naprawdę opowiada *Wojna...*? O Polsce widzianej oczami przedstawicielki pokolenia 80., urodzonej u schyłku PRL-u, więc pozbawionej bagażu solidarnizmu, wielkich idei oraz komunizmojęj martyrologii. Zamiast tego maturzystka Maślowska styka się z nieuporządkowanym zaściankiem, gdzie narkotykowe ciągi zastępują intelektualną tożsamość, a estetyka disco polo wystarcza za rozrywkę. Zarazem ta wizja skrywa dość charakterystyczne ujęcia polskości – romantyzm zmieszany z nacjonalizmem, mentalność od zrywu do zrywu. W tle kołaczce niespełniona, fatalistyczna miłość.

DLA TWÓRCÓW NAJWAŻNIEJSZY JEDNAK wydaje się oddźwięk nakręconego dzieła. Borys Szybc, pytany, czy nie obawia się postrzegania *Wojny...* w kategoriach "filmu dresiarzkiego" i złej sławy na wzór *Mechanicznej pomarańczy*, odpowiada, iż jeśli obraz wzbudzi kontrowersje na podobieństwo sławnego dzieła Kubricka, to tym lepiej. Polskiej kinematografii brakuje bowiem obrazów, które wywoływałyby silne emocje.

Szybc z podekscytowaniem mówi o ekranizacji *Wojny...*, żywiąc nadzieję, iż film wreszcie przełamie złą passę polskiego kina za granicą. To całkiem możliwe, gdyż dzieło Żuławskiego nie niesie ze sobą balastu polskich kompleksów. Wręcz przeciwnie, pełne alterglobalistycznych dygresji może być odczytywane bardziej uniwersalnie. Czynna i sprawcza rola Maślowskiej z pewnością przysłuży się popularyzacji dzieła. Jest bowiem dziś jedną z bardziej znanych polskich autorek sztuk teatralnych, zaś jej debiutancka *Wojna...*, wbrew wydawałoby się językowemu hermetyzmowi, sukcesywnie zwiększa liczbę zagranicznych wydań. I pomyśleć, że zaczęło się tak niepozornie...

ŁUKASZ BADULA,
ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

Przeгляд Polski

Tygodniowy
dodatek kulturalny

nowego dziennika

Redaguje Julita Karkowska

Adres redakcji:

333 West 38th Street,

New York, NY, 10018-5599

tel. (212) 594-2266 wew. 36

fax (212) 594-2383

E-mail: julita@dziennik.com

http://dziennik.com/przeglad

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca

PRENUMERATA w formacie PDF
bez czekania na listonosza!

www.dziennik.com/przeglad

Przeгляд Polski



Jubileusz polskiego kina

T

Ze świata kultury

Hiszpania nagradza wybitnych

Od 1989 roku rząd Katalonii przyznaje Premi Internacional Catalunya – doroczną nagrodę, której laureatami są wybitni przedstawiciele świata nauki, sztuki, religii, polityki i ekonomii. W przeszłości wyróżnienie to otrzymali m.in. Karl Popper, Mściśław Rostropowicz, Václav Havel, Claude Lévi Strauss, Amartya Sen, Doris Lessing i Amos Oz.

W Barcelonie ogłoszono właśnie zwycięzcę roku 2009. Został nim słynny artysta amerykański Bill Viola. Nagrodę – czek na 135 tysięcy dolarów oraz rzeźbę *Klucz i litera* wykonaną przez Antoniego Tápiesa – wręczy mu 30 czerwca prezydent Katalonii José Montilla.

Bill Viola pochodzi z Nowego Jorku. Specjalizuje się w instalacjach wizualno-dźwiękowych i sztuce wideo. Natchnienia szuka w buddyzmie i islamskim sufizmie. Jego prace, poruszające najczęściej problemy ludzkiej egzystencji, oglądać można w londyńskiej National Gallery, berlińskim Guggenheim Museum i w nowojorskim Metropolitan Museum of Art. Katalońskie jury napisało w uzasadnieniu, że Viola otrzymał nagrodę za “prace artystyczne i techniczne, osobiste i duchowe prezentowane za pomocą sztuki wideo, której jest pionierem”. Amerykański twórca pokonał 210 kontrkandydatów z 63 krajów.

Z kolei prestiżową Nagrodę Velázquezę przyznawaną przez hiszpańskie Ministerstwo Kultury otrzymał Antoni Muntadas, urodzony w Barcelonie, a obecnie mieszkający w Nowym Jorku pionier sztuki elektronicznej. Jego najbardziej znana praca to *The File Room* – internetowy projekt artystyczny, który rozpoczął się w 1994 roku i trwa nadal. *The File Room* to ogólnie dostępna baza danych dotyczących wszelkich przypadków cenzury na całym świecie.

Szalony Blake w Paryżu

Do końca czerwca w paryskim Petit Palais będzie czynna retrospektywa prac Williama Blake’a, prekursora angielskiego romantyzmu. Z brytyjskich muzeów wypożyczono ponad 130 prac: rysunki, akwaforty, akwarele, ilustracje, sztychy i książki.

Urodzony w 1757 roku Blake – poeta, malarz, rytownik i drukarz – był dziwakiem i ekscentrykiem. Już od najmłodszych lat doświadczał licznych religijnych objawień, które uwieczniał potem w swoich dziełach poetyckich i malarskich. Początkowo kopiował jedynie znane arcydzieła, projektował nagrobki i ilustrował książki. W latach 1789 i 1794 ukazały się jego najsłynniejsze zbiory poezji, które własnoręcznie zilustrował: *Pieśni niewinności* i *Pieśni doświadczenia*. Artysta, często nazywany “szalonym Blake’em”, mawiał: “To, co wielkie, jest nieuchronnie ukryte przed słabymi. To, co oczywiste dla idioty, nie jest wartego zachodu”.



W wielu miastach Europy (także w Polsce) odbyła się Noc Muzeów. Na zdjęciu – włoski Narodowy Zespół Tańca Historycznego, który wystąpił w Rzymie

Szczególnym zainteresowaniem zwiedzających cieszą się barwne akwaforty zwane wypukłymi, ze względu na specyficzną technikę graficzną opracowaną przez Blake’a. Wielkość artysty, jako pierwszy, docenili surrealiści z André Bretonem na czele, a pierwszych przekładów jego wierszy na francuski dokonał w latach 20. XX wieku André Gide.

Muzyczne Noble

W Sztokholmie ogłoszono zdobywców międzynarodowej nagrody muzycznej Polarpriset, zwanej również muzycznym Noblem. Otrzymali ją: legenda brytyjskiego rocka Peter Gabriel i wenezuelski dyrygent José Antonio Abreu.

Gabriel był założycielem grupy Genesis, ale w latach 70. ub. wieku rozpoczął karierę solową. Aktywnie działa na rzecz praw człowieka. Przyznająca wyróżnienie komisja stwierdziła: “Jako kompozytor, artysta i człowiek Peter Gabriel nie tylko wywarł istotny wpływ na rozwój muzyki popularnej, ale całkowicie zredefiniował jej pojęcie”.

Abreu natomiast był twórcą programu El Sistema, oferującego zajęcia i warsztaty muzyczne dla młodych ludzi, zwłaszcza tych pochodzących z najuboższych warstw społeczeństwa wenezuelskiego. Program działa od 30 lat, a skorzystało z niego ponad 300 tysięcy osób.

Muzyczne Noble w wysokości 122 tysięcy dolarów wręczone zostaną uroczystie w sierpniu przez króla Szwecji Karola Gustawa. Wcześniej si laureaci nagrody to m.in. zespół Pink Floyd, Ravi Shankar, Elton John, Dizzy Gillespie, Mściśław Rostropowicz i Paul McCartney.

Podróż na Księżyc

Rok 2009 ogłoszony został przez ONZ Międzynarodowym Rokiem Astronomii. W 1609 roku Galileusz, jako jeden z pierwszych, użył teleskopu do obserwacji Księżyca. W roku 1969 na “srebrnym globie” stanął amerykański astronauta Neil Armstrong.

“Księżyc” to tytuł ekspozycji przygotowanej przez Muzeum Wallraf-Richartz w Kolonii. Zgromadzone na niej ponad 150 dzieł powstałych od średniowiecza do czasów współczesnych. Jak twierdzi dyrektor muzeum Andreas Blühm w średniowieczu Księżyc symbolizował Matkę Boską. Przykładem tego są obrazy: *Matka Boża w różanej altanie* Stefana Lochnera i *Matka Boża z Dzieciątkiem na sierpnie Księżyca* Albrechta Dürera.

W Kolonii pokazano także dzieła romantyków, w tym słynny *Krzyż nad Bałtykiem* Davida Friedricha oraz ekspresjonistów, naturalistów, impresjonistów i surrealistów, m.in. Karla Schmidta-Rotluffa, Jeana-Francoisa Milleta, Adolpha Menzela, Édouarda Maneta, Maxa Ernsta i Maxa Beckmanna.

Zainteresowanie zwiedzających budzą instrumenty astronomiczne, współczesne fotografie przestrzeni kosmicznej oraz oryginalny egzemplarz *Sidereus Nuncius* – traktat naukowy z 1610 roku, w którym Galileusz opisał swoje obserwacje Księżyca i gwiazd.

Malarz gwiazd

Australijski artysta Vincent Fantauzzo zdobył prestiżową Archibald Prize za portret 18-letniego aktora Brandona Waltersa. Walters, który

zagrał w filmie *Australia* u boku Nicole Kidman, wychował się wśród aborygenów. W wieku 6 lat zachorował na białaczkę, ale po roku pobytu w szpitalu pokonał chorobę. Fantauzzo powiedział o nim: “Brandon ma niezwykle intensywne spojrzenie i niesamowite oczy. Malując jego portret pragnąłem uchwycić skwar australijskiego słońca na jego twarzy”.

Malarz otrzymał Archibald Prize już po raz drugi. W roku ubiegłym jury nagrodziło jego tryptyk przedstawiający słynnego aktora Heatha Ledgera.

Magia Le Corbusiera

W londyńskim Barbican Centre dobiega końca wystawa zatytułowana “Le Corbusier – sztuka architektury”. Obejmuje ona nie tylko architektoniczne projekty Corbusiera, ale także jego prace malarskie i filmowe, meble, fotografie, gobeliny i książki.

Corbusier urodził się w 1887 roku w Szwajcarii, ale w roku 1930 przyjął obywatelstwo francuskie. Był pionierem nowoczesnej architektury. Jego nowatorskie projekty wieżowców z betonu budziły podziw, ale i odrazę. Kuratorka wystawy Lydia Yee oświadczyła: “Negatywny odbiór Corbusiera mamy już za sobą. Wiele osób wie, że doskonale rysował, ale jego obrazy i rzeźby pozostają nieznanymi. A przecież miały silny wpływ na jego architekturę”.

Najciekawsze eksponaty to monumentalne malowidło ściennie *Femme et coquillage IV* z paryskiego biura Corbusiera, całkowicie wyposażona kuchnia, którą stworzył w latach 50. dla słynnego budynku Unite d’Habitation w Marsylii, a także szkice, modele i plany Czandigaru – miasta

w północnych Indiach, którego centrum zaprojektował. Wystawiono również prace współpracowników Corbusiera: Fernanda Légera, Jeana Prouvé’a i Charloty Perriand.

O miłości, wojnie i rozpacz

Kolumbijski pisarz Evelio Rosero, autor książki *The Armies*, został laureatem Independent Foreign Fiction Prize, która przyznawana jest za najlepszą powieść przełożoną na język angielski. Tradycyjnie zdobywca nagrody dzieli się czekiem opiewającym na 15 tys. dol. z tłumaczem dzieła.

Tłumaczka Anne McLean wyróżniona została przez gazetę *Independent* w 2004 roku za przekład powieści Javiera Cercasa *Żołnierze spod Salaminy*.

The Armies opowiada historię emerytowanego nauczyciela Ismaela, mieszkającego w odludnej, górskiej wiosce. Ismael jest świadkiem codziennej przemocy i porwań. Jury doceniło powieść Rosero za interesujący i przejmujący portret kraju zdewastowanego przez brutalną wojnę domową. Przewodniczący jury Boyd Tonkin oświadczył: “*The Armies* to pięknie napisana powieść o miłości, wojnie i rozpacz. Opisuje tragedię Kolumbijczyków, ale jednocześnie celebrytuje uniwersalne, choć zawsze kruche walory codziennej egzystencji”.

W ub.r. nagroda przypadła belgijskiemu pisarzowi Paulowi Verhaeghenowi, który protestując przeciwko amerykańskiej polityce zagranicznej przekazał ją na rzecz Amerykańskiego Stowarzyszenia Swobód Obywatelskich.

NA PODSTAWIE RÓŻNYCH ŹRÓDEŁ
OPR. MAŁGORZATA MARKOFF